

44145

44146

[1-2]



PODRÓŻ POLKI DO PERSYI.

MARYA RATULD - RAKOWSKA.

Podróż Polki do Persyi.

Z PRZEDMOWĄ

T. JAROSZYNSKIEGO.

Z ilustracyami.

—
Część I
—

WARSZAWA

DRUKARNIA

ALEKSANDRA TAD. JEZERSKIEGO

47. Nowy - Świat 47.

opisy podróży
<http://rcin.org.pl>

Дозволено Цензурою.
Варшава, ~~20~~ 21 июля 1904 года.



ИЧ.146 []

PRZEDMOWA.



Marya Ratuldowa, z domu Rakowska, jest warszawianką. Ukończywszy tu III gimnazjum żeńskie z medalem, po odpowiednim przygotowaniu się dodatkowem wybrała się na dalsze studia do Paryża, gdzie wstąpiła na wydział przyrodniczy w Sorbonie. W krótkim bardzo czasie młoda studentka wyszła zamąż za kolegę z medycyny, Władysława Ratulda, nie wyrzekając się bynajmniej dalszej pracy dla nauki. Niestety, obowiązki żony i matki, boć cóż naturalniejszego być może, niż macierzyństwo po zamążpójściu, często i na długo odrywały przyrodniczkę od studyów uniwersyteckich, w każdym razie, mimo wszystko, mimo przerw i trudności, udało się przecież pani Maryi skończyć przyrodę. Mąż tymczasem wcześniej załatwił się ze swoim doktoratem i rozpoczął samodzielną praktykę lekarską w Paryżu, pracując jednocześnie jako asy-

stent w klinice okulistycznej doktora Gałęzowskiego, gdzie wyrabiał sobie potrocbu opinię jednego z najzdolniejszych pomocników słynnego profesora. W ślad za tem i praktyka osobista wzrastała bardzo szybko. Sława jego, jako specjalisty od chorób ocznych, przeszła po za obręb dzielnicy, w której mieszkał i ściągała mu pacjentów z całego miasta. Jakoż wkrótce wycofał się z praktyki ogólnej, od której każdy prawie młody lekarz w Paryżu zaczyna, i oddał się wyłącznie okulistyce.

W tym czasie szach perski, panujący jeszcze wówczas Nasr-Eddin, zwrócił się do profesora Gałęzowskiego z propozycją urządzenia mu w krainie Lwa i Słońca klinik i przygotowania z miejscowych lekarzy specjalistów do walki z trapiącemi okrutnie ludność tamtejszą chorobami oczu. Rzeczywiście szerzą się w całej Persyi złośliwe, uparte zapalenia i inne dolegliwości oczne, z któremi miejscowi *hakimi* rady sobie dać nie umieją. Sam Nasr-Eddin zapadał był kiedyś bardzo poważnie na oczy i wtedy z Paryża sprowadzał sobie do Teheranu doktora Gałęzowskiego. Po szczęśliwie dokonanej operacyi król królów nie zapomniał o słynnym okuliście i jako dowód pamięci, posyłał mu od czasu do czasu perskie znakomitości medyczne, ażeby pod kierunkiem słynnego lekarza europejskiego rozszerzyć nieco mogli ubogi zakres swego wschodniego

wykształcenia zawodowego. Kiedy więc w r. 1894 perskie ministerium oświaty postanowiło utworzyć w kraju coś w rodzaju szkoły okulistycznej i poszukiwano odpowiedniego kierownika, zwrócono się przede wszystkim do dawnego lekarza szacha. Organizacya całej instytucyi i edukacya przyszłych sław lekarskich zrazu trwać miała dwa lub trzy lata. Dr Gałęzowski na stanowisko to polecił swego asystenta, doktora Ratulda, który też, nie wahając się długo, po przeprowadzeniu bezpośrednich rokowań z ministrem oświaty Mehbere-Dowleh, pożegnał paryzkich pacjentów i wyruszył w podróż z żoną i sześciolletnią córeczką. Nadmienić tu jeszcze należy, co zresztą autorka szeroko opisuje w swej „Podróży,” że państwo Ratuldowie do tego kraju, zabitego deskami przesądów religijnych i innych od reszty świata cywilizowanego, jechali drogą nie najłatwiejszą, utartą po części przez Europejczyków, ale owszem, najbardziej mozolną i niebezpieczną. Drożynami, po których drepczą karawany mułów i wielbłądów, jak za czasów biblijnych, przedzierać się musieli przez góry Małej Azji, przez niedostępne skały Kurdystanu, podminowanego nadto w tej właśnie chwili fermentem nienawiści plemiennych. — Echa rzezi armeńskich, odgłosy okrutnych mordów, łuny oddalonych pożarów towarzy-

szyły podróżnym naszym w przeprawach nad kar-kołomnemi urwiskami.

Kiedy po dwuletnim pobycie w Teheranie pani Ratuld Rakowska powróciła do Paryża, przyjaciele namówili ją do spisania tych przygód i wrażeń bądź co bądź niepowszednich i oto powstał tom, tem ciekawszy może od innych opisów Wschodu, że autorka, jako kobieta, miała wstęp do zamkniętych za-zdrośnie przed mężczyznami *enderumów* i odkryła wiele interesujących szczegółów z życia haremowe-go kobiet, tych nieszczęsnych ofiar ponurej azyaty-ckiej kultury.

Pani Marya Ratuld Rakowska mieszka odtąd stale w Paryżu i pisuje do pism polskich korespon-dencye, oraz artykuły z dziedziny literatury i sztuki.

Ł. Jaroszyński.

I.

Z Paryża do Konstantynopola. — Przeprowa przez Czarne morze. — Trebizonda.

Nie radzę ludziom, miłującym spokój i choćby względne wygody, udawać się do Persyi przez Małą Azyę. Niech raczej podążą w prostej linii z Londynu, Paryża, Wiednia czy Warszawy do Petrowska, portu przy morzu Kaspijskiem. Ztamtąd przeprowią się w dwie doby do Enzeli, portu perskiego przy temże morzu, a dalej przez Reszt, główne miasto prowincyi Gilanu, dostaną się w sześć lub siedem dni co najwyżej do stolicy „króla królów” pocztową, choć niestety, nie powozową drogą, prowadzącą na Shah-Roud, Pa-Chinar, Kharzan, Azim-Abbad i Kasbin. Mogą również podróżować morzem z Marsylii do Konstantynopola, a ztamtąd przez Batum i Baku dotrą znowu do Enzeli.

Droga przez Małą Azyę jest długa, mozolna i obfituje w niezwykle, a nie zawsze przyjemne wrażenia. Ktokolwiek wybiera się w nią z większym bagażem i nie może jechać konno, zmieniając wierz-

chowca na każdym pocztowym etapie, skazany będzie na siedmiotygodniową co najmniej pielgrzymkę, by z Trebizondy przedostać się do Teheranu.

Druga droga prowadzi przez góry Anti-Taurusu, Erzerum, Armenię turecką i część perskiego Kurdżystanu, wreszcie przez prowincję Azerbajdżanu, której szach obecny, Muzaffer-Eddin, był gubernatorem jako następcą tronu.

Tę właśnie drogę wybraliśmy z różnych powodów, o których rozwodzić się nie będę. Żaden Europejczyk nie narażał się na te tortury już od lat dziesiątków. Jest ona nietylko uciążliwa, lecz i niebezpieczna.

W chwili, gdy wyruszamy z Erzerumu, wybuchła rzeź armeńska; dochodzą nas wciąż wieści o palonych wsiach, kościołach, o mordach i pożogach. Smutne spędzamy dnie i godziny obcy, sami, bezsilni, w otoczeniu dziczy.

Lecz złe chwile minęły. Nikt nas nie skrzywdził, nikt nie zrabował, żadna rozbójnicza szajka Kurdów nie zaczaiła się w górskich szczelinach, grożąc naszemu życiu i mieniu. Pozostało tylko dzisiaj dalekie wspomnienie poezji, krajobrazów i wdzięku wspaniałej natury, nietkniętej jeszcze przez cywilizację, niwelującą wszystko na jednostajną modłę. Pozostało też wrażenie niezgnębionej ciemnoty, jak noce czarne, ciemnoty, których brzask żaden nie rozświeca i litość niezmierna dla bezgranicznej nędzy Paryasów, osiadłych w tych górskich zakątkach.

Z całą polską nieopatrnością wybraliśmy się

na tę wędrówkę do prawdziwie nowego dla nas świata, jak na kurację do wód lub letnią willegiaturę. Wieziemy mnóstwo rzeczy niepotrzebnych, brak nam zato niezbędnych; nie mamy najślabszego pojęcia o blizkich trudach i przykrościach; widzimy tylko malowniczą stronę podróży, nie troszcząc się za to o praktyczną.

Opuszczamy Paryż 10-go października 1894 roku.

Przejeżdżamy Europę w nastroju różowym, pilno nam zobaczyć Konstantynopol. Lecz już na pograniczu tureckiem mamy pierwszy, wprowadzie słaby, lecz wiele mówiący przedsmak tego, co czekać nas może w Małej Azji.

W Galicyi zjawila się jakoby cholera, dzięki czemu w Mustafie-Paszy, granicznej stacyi tureckiej, odbywać trzeba 24-godzinna kwarantanna, by pozbyć się nieistniejących zarazków choroby.

Urzednicy celni kaza nam otwierac kufry, na zawartość ktorých spada obfity deszcz karbolu, poczem zapisują imię, nazwisko, wiek, zajęcie i miejsce zamieszkania każdego podróżnika, jakby te wszystkie rzeczy pozostawały w istotnym związku z cholerą.

Stacya jest mała, brudna i ciasna; karbol przesycy powietrze ostrą wonią. To też opuszczamy ją z uczuciem ulgi, jakkolwiek kaza nam peregrynować w noc ciemną przez rowy i grudy do jakiejś kazamaty, jednej z licznego szeregu.

Więzienna ta budowla składa się z czterech pokoików problematycznej czystości, zaopatrzonych

w żelazne łóżka, stoły i krzesła; pościel na łóżkach, szczerze szara, upstrzona jest czarnymi plamkami. Doktor kwarantanny zapewnił nas jednak następnego poranka, że codzień ją zmieniają. Nie wiem więc, jakiej przyczynie zawdzięcza swój niezachęcający wygląd.

Jest nas osób dziewięć i, oprócz dwóch okazów najwyraźniej wschodniego pochodzenia, nikt nie ma odwagi wyciągnąć się na tych łożach.

Spożywamy kolację, złożoną z chleba, jajek na twardo i wódki anyżowej, zwanej „mastic,” których to specyałów dostarcza bajecznie obdarty turek.

Co dalej robić?..

Zaczynamy spacerować naokół kazamaty, przeklinając los i cholereę.

Późną już nocą, zmożeni sennością i przemarznięci, decydujemy się wrócić do pokoju, gdzie przedrzemaliśmy resztę nocy na krzesłach. Wstajemy ze świtem połamani i zmordowani, aby znów rozpocząć kręcenie się w kółko po porosłej rzadką trawą łączce.

Muštata-Pasza wygląda na koloniję poprawczą z rzędami jednostajnych, smutnych budowli. Niema jednej kępy zarośli, jednego drzewa, nic, coby rozweselało rozpaczliwą nudę pejzażu.

Wieczorem dopiero, wyzwoleni z niewoli, wsiadamy do pociągu. Zrana staniemy w Konstantynopolu.

Dojeżdżając do miasta wzdłuż morza Marmora, mamy z obu stron przed sobą widok przepię-

kny. Linia kolei biegnie o kilkadziesiąt zaledwie metrów od wybrzeża, w potokach słońca i jasności. Fala skrzy się i mieni srebrzystą łuską. Sieci i łodzie rybaków spoczywają leniwie na złotym piasku. Z drugiej strony ciągną się nieprzerwane szeregi ogrodów: figowce i cytryny, pomarańcze i granaty mieszają swe gałęzie i cisną się bezładnie, chroniąc w swej zieleni domy o charakterze już czysto wschodnim. Mam tu oczywiście na myśli tylko wschód turecki, gdyż zarówno architektura poszczególnych budowli, jak i ogólna fizyonomia miast wręcz odrębną będzie w Persyi.

Przez muszarabi ¹⁾ balkonów migają jasne, kobiece postacie. Kilka meczetów o minaretach na wpół zwalonych i liczne ruiny domów świadczą o niedawnem trzęsieniu ziemi, którego ślady spotykamy też na każdym kroku w Konstantynopolu. Wszystko kąpie się w bezmiarach światła i blasków. Zaczynam pojmować zamiłowanie ludzi Wschodu do barw jasnych i zdecydowanych. Wszystkie zieloności, szkarłaty i fiolety, które kwitną w ich kostyumach, są w harmonii z niebem, powietrzem i słońcem. Żałoba kolorów ciemnych dziwnieby odbijała od wiecznego wesela natury.

Nie chcę nic mówić o Konstantynopolu. Każdy opis, próbujący oddać niezrównane piękno jedynej w świecie panoramy, roztaczającej się z obu stron Bosforu, musi być bladym i nieudolnym.

¹⁾ Rzeźba ażurowa drzwi i balkonów, pozwalająca widzieć z wewnątrz, nie będąc widzianym.

Białe pałace sułtana kąpią się w morzu, podobne do zaklętej królowny; nieskończonemi tarasami piętrzy się amfiteatr domów, gmachów, świątyń, wytryskujący w niebo wieżyczkami minaretów; ogrody pną się po zboczach i kładą smugi zieleni na białe grupy domów.

Przez dwa dni, spędzone w mieście, przebywamy je dorożką we wszystkich kierunkach. Sto razy zatrzymują nas na moście, dzielącym jedną część Konstantynopola od drugiej, każąc za każdą razą płacić za przejazd.

Zwiedzamy kilka meczetów, podziwiamy surową i suchą wspaniałość Świętej Zofii. By stopy niewiernych nie kalały świętego przybytku, nadziewamy w przedsionku jakieś treпки, płacimy za tę przyjemność dwa franki od osoby i wchodzimy wreszcie do świątyni. Wogóle straszne zdzierstwo kwitnie w hotelu, w sklepach, wszędzie, gdzie poznają nieświadomego obyczajów miejscowych podróżnika. Rzecz to jednak zwykła; wszędzie i zawsze nakładają haracz na cudzoziemca.

Ludzie wschodu pobierają go przynajmniej z wielkim wdziękiem i kraszą bezczelny wyzysk tak kwiecistemi frazesami, że i żalu do nich żywić niepodobna.

Przedsmak Teheranu dają nam okropne psie koncerty, wskutek których nocą oczu zmrzyć nie mogę. Z czasem przyjdzie przyzwyczajenie; obecnie przygnębiające robi wrażenie wycie tysięcznych głosów i sam widok tych nędznych, wyrudziałych włóczędzów, gromadami zalegających chodniki.

Z Konstantynopola czeka nas przeprawa morzem do Trebizondy; dalszą podróż wyobrażamy sobie w najfantastyczniejszych barwach. Wiemy, że pojedziemy przez Erzerum i Bajazyd, że widzieć będziemy Ararat, że gdzieś przerżniemy Araks i Eufrates, lecz o sposobach przebycia tej drogi staramy się nie myśleć. Jakoś się wszystko urządzi... Nie bylibyśmy Polakami, gdybyśmy rządili się inną filozofią.

Statek „Odyssos” w trzy dni dostawi nas do Trebizondy. Zwolna przesuwamy się przez Bosfor ku brzegom Małej Azji, wzdłuż których wciąż płynąć będziemy.

Ostatniem spojrzeniem obejmuję urocze miasto; długo jeszcze widzę biały pałac, schodzący w morze marmurowymi schodami. Fala jest ciemna, lecz kryształowo przezroczysta; w powietrzu leży spokój i cisza; najmniejszy podmuch wiatru nie mąci wód powierzchni.

Wybrzeża Małej Azji niczem nie pociągają wzroku: nagie są i skaliste, wieje od nich grobowa martwota.

Przystajemy po raz pierwszy przy małej miejscinie Ineboli; w parę godzin później widzimy zdaleka Sinope, starożytną kolonię grecką. Niebo wciąż czyste i morze bez ruchu; mnóstwo ryb latających miga w powietrzu.

Zatrzymujemy się po raz drugi przy Samsunie, miejscowości słynnej na cały świat ze swych tytoniów. Naokół statku pływa tysiące meduz, mie-

niących się tonami opalu; zdaje się, że z szalupy ręką dosięgnąć je można.

Przy akompaniamencie dzikich krzyków, towarzyszących na Wschodzie najłżejszej pracy, oblegają nas łodki i łódeczki, na pokład wdiera się mnóstwo obszarpańców, szwargocąc i ciągnąc za ubranie, by skłonić do wylądowania i zaopatrzenia się w ten znakomity tytoń.

Mieścina niewielka jest, lecz malowniczo u stóp gór rozpostarta. Nędzny bazar, sklecony z desek i gliny! Skacze się z kamienia na kamień przez kałuże błota, które przez dziwny a nie wytłomaczony dla mnie fenomen zalegają ulice miast wschodu w najznojniesze dnię lata...

Ośły i muły, silne i rosłe, lecz nad miarę objuczone, zwolna kroczą ku karawanserajowi, gdzie czeka je wypoczynek. Poganiacze kołają je z tyłu zaostrzonym kijem, kiedy zwierzęta ustają w drodze.

Morze zaczyna się zlekka marszczyć i po powrocie na statek doznajemy smutnych skutków tego rozigrania się fal. Zamykam się w kajucie i cierpię męki...

Z opowiadania już tylko wiem, że wciąż jedziemy wzdłuż brzegów, coraz więcej górzystych Małej Azji. Na horyzoncie widnieją prawdziwe szczyty! Jeszcze jeden przystanek przy Kiresun; morze zupełnie już rozkołysane, wśród burzy, ryku wichrów i wycia fal docieramy do Trebizondy.

Statek zatrzymuje się o tysiąc przynajmniej metrów od portu, do którego dostęp w najpiękniej-

szą nawet pogodę jest trudny, a w złą niemożliwy.

Trebizonda pnie się po urwistem wybrzeżu; a za tło służą jej góry, lasem porośłe.

Potężne skały, jakby ręką olbrzymów wyciosane, wrzynają się głęboko w morze, wiecznie rozgniewane, wirujące, toczące kłęby piany, które rozbijają się z szalonym impetem o twardey granit wybrzeża.

Dziką muzykę rozszalałej fali wciąż i wszędzie tu słyhać; budzi on ze snu i do snu kołysze.

Na okręt znów wdzierają się gromady przełożników; nie wiem, jak mnie przenoszą do łódki, tańczącej po bałwanach, kładącej się bokiem to na jedną, to na drugą stronę. Cierpię nieopisane katusze.

Na lądzie oglądają paszporty i rewidują podręczne pakunki. Kufry i paki czeka inspekcya drobiazgową do smieszności, która odbędzie się później. Tymczasem idziemy do hotelu.

Nie zdążyłam jeszcze zamknąć ostatniej walizki, a już rzuca się na nas gromada obdartusów, wydobywając z gardła ogłuszające wrzaski. Zbierają szybko bagaże, jeden wydziera mi z rąk parasol, drugi pled, trzeci chwyta laskę męża i tak piętnastu przynajmniej dźwiga paczki, na któreby w Europie czterech wystarczyło. Prawda, że zadawalniają się zapłatą minimalną.

Gestykulując zawzięcie, wymachując zamasyście walizkami, pędzą przed nami po stromych

i krętych uliczkach miasta, poprzedzani przez „dragomana” (tłómacz) konsulatu perskiego, który oczekiwał na nas w porcie. Prowadzą nas do niepozornej oberży, tytułującej się szumnie *Hotel d'Italie*. W drugim, przyzwoitszym nieco zajeździe, niema podobno miejsca.

Brak już tu elementarnych wygód życiowych. Sumaryczne umeblowanie pokoju składa się z dwóch pierwotnych tapczanów i kulawego stolika, na którym stoi cynowa miseczka z maleńkim dzbankiem—ludzie wschodu stanowczo obawiają się wody. Zielone lustro, zawieszane na ścianie, potwornie twarz wykrzywia.

Ku nieopisanemu jednak zdziwieniu, pościel jest świeża i czysta. Drzwi się nie zamykają - używalność klamek i zamków wykluczono.

Wszystkie izby — nie mogą tych pomieszczeń nazwać pokojami—wychodzą na obszerną sień, zaopatrzoną w wielki stół środkowy i kilka krzeseł. Tam przyjmujemy gości, tam też spożywamy obiady.

Najpiękniejszy „lokal” w hotelu zajmuje gruby i potężny wojak armii tureckiej, siedzący całymi dniami w łóżku z podwiniętymi pod siebie nogami. Łóżko zasypane jest granatami i słodkimi cytrynami; major zapija herbatę z cynamonem, kurzy „narghile” i wymyśla tubalnym głosem wszystkim Mustafom, Metim i Alim, stanowiącym w zajeździe parodyę służby. Dla nas zdaje się być życzliwie usposobiony i ledwieśmy zdążyli nieco się ułożyć—

zaprasza nas na swą ocynamonioną herbatę, gęstą i słodką jak syrop.

Przysmak to ogólnie rozpowszechniony w Turcyi.

Major nie wiele mówi, nie władając żadnym ze znanych nam języków; przymusowe milczenie wynagradza więc uśmiechami i porozumiewającym kiwaniem głową. Co parę godzin odczuwa potrzebę przysyłania nam przez służącego kilku granatów i wielkich cytryn, mdłych i włóknistych, które mi zupełnie nie przypadają do smaku. Bardzo żywo interesują go nasze dalsze losy; ze swego pokoju przyjmuje czynny udział w obradach, toczących się w środkowej izbie, a z których — nie potrzebuję dodawać—my jedni nic prawie nie rozumiemy.

.

Trebizonda w niczem już nie przypomina dawnych epok historyi, a pamięta przecież ona zamierzchłą dziejową przeszłość; pozostała wszelako ważnym punktem handlowo-zamiennym.

Ztąd przez Erzerum, Bajazyd i Tebrys dążą karawany do Teheranu i całej Persyi. Tu docierają produkty eksportacyjne środkowej Azji, aby przez Konstantynopol i Marsylię wędrować dalej po Europie.

To też na ulicach panuje ruch, zgiełk, zamieszanie.

Nadciągają wciąż nowe karawany, wciąż na bok usuwać się trzeba przed Tatarami, pędzącymi

obładowane muły, konie i osły. Wielbłądów tylko niewiele widzę.

W porcie snuje się tłum różnojęzyczny i różnobarwny.

Są tu Kurdowie w jedwabnych żółto-wiśniowych zawojach, Arabowie w białych burnusach, Turcy w czerwonych fezach, tatarzy w tułupach futrem na wierzch wywróconych i w płaskich baranich czapkach, Persowie w długich płaszczach o rękawach szerokich. Płaszczce te, rozwiewając się, ukazują atłasowe żupany, zielone, fioletowe lub karmazynowe. Na głowie mają wysoką „khole”, czarną, barankową czapkę, zwężającą się ku górze.

Drugiego zaraz dnia pobytu w Trebizondzie wybieramy się do bazaru, by zaopatrzyć się na drogę w cukier, herbatę, kawę i wszelakie konserwy.

Bazar jest ciasny i brzydki, na szczęście kryty całkowicie dachem, dzięki czemu unikamy przemoknięcia, mimo spadającej z gwałtownością ulewy.

Jak we wszystkich miastach wschodu, bazar składa się z kilku wyraźnie odgraniczonych części. W jednej mieszczą się dywany, w drugiej wyroby miedziane, inną zajmują jubilerzy.

W tej ulicy gromadzą się krawcy, w tamtej szewcy, dalej jeszcze handlarze produktów spożywczych.

Kupcy nie zadają sobie najmniejszego trudu, by przyciągnąć publiczność. Podwinawszy nogi, siedzą obojętnie, paląc „narghile” lub kaljan, albo zapijają herbatę z maleńkich szklaneczek.

Szczególna i miła nad wyraz niespodzianka

spotyka nas w tej wędrownicy. Wszedłszy do jakiegoś sklepiku, zamieniamy ze sobą parę słów po polsku.

Czerwono-fezy jegomość, który nam usługiwał, zrywa się nagle i pędzi gdzieś szybko. Po chwili wraca, prowadząc ze sobą podeszłego staruszka, lat może 70-ciu, który od progu już woła drżącym głosem:

— Państwo Polacy, rodacy? A zkąd tu?

I zasypuje nas starowina prędkimi, gorączkowymi pytaniami; nie czekając odpowiedzi, sam mówi:

— Ja już, proszę państwa, z górą lat 40 kołaczę się na obczyźnie. Państwo do Teheranu? A cóż, niezgorzej wam tam będzie; to niezły naród ci Persowie... Ja w Teheranie dziesięć lat przebyłem... A teraz już lat dwadzieścia kilka będzie, jak mieszkam w Trebizondzie. To mój syn, tu urodzony, Turek prawie, po polsku ledwie coś nie coś rozumie... matka tutejsza...

Nieprzerwanym potokiem płyną słowa. Stary Tomczyk ofiarował się nam z pomocą we wszystkim, do czego może być użyteczny. Drepcze z nami, postukując kijem. Idziemy razem po zakupy, potem do hotelu.

Przez cztery dni nie opuszcza nas prawie, rozpromieniony, szczęśliwy, rozpytujać o kraj, grzebiąc we wspomnieniach smutnych i dalekich.

Pobyty w Trebizondzie uchyla rąbek zasłony, rozciągniętej jeszcze dla nas nad życiem i obyczajami Wschodu perskiego. Idziemy z wizytą do konsula i do paru bogatych kupców. Mogą nam oni być pomocni w wyszukaniu przewodników i ekwipażu, któryby nas dostawił do Bajazydu. Ztamtąd podobno łatwo przedostać się do Teheranu, tak nas przynajmniej zapewniają Persowie. Doświadczenie, niestety, mówi inaczej.

Przyjmują nas wszędzie z wyszukaną grzecznością. Turcy, o ile ich mogłam poznać, są prości i rubaszni, lecz nadzwyczaj gościnni, serdeczni i oddani. Persowie natomiast odznaczają się elegancją obejścia, wytwornością mowy i wielkim wdziękiem, połączonym z wielką powagą. Lubują się w kwiatkach wymowy i dają się jej unosić. Obietnice nic ich nie kosztują i nic dla nich nie znaczy, gdy mówią — dom ich, majątek, żona do gościa należy. *Male szuma*, dosłownie „dla ciebie”, z ust im nie schodzi. Wszystko, co Pers posiada, jest *male szuma*. Gdy przychodzi do wywiązania się z najprostszych przyrzeczeń, wszystko w puch się rozwiewa. Trzeba więc traktować ich zapewnienia jako piękne frazesy i niczego się od nich nie spodziewając, radzić sobie samemu.

Nam naprzykład konsul i kupcy przyrzekają najsolenniejszym zajmą się wyszukaniem jakiegoś sposobu lokomocyi i ułatwieniem dalszej podróży, lecz nic absolutnie w tym kierunku nie poczynają. Moglibyśmy tygodniami wyczekiwać szczęśliwego trafu, który pozwoli nam opuścić Trebizondę, gdyby nie

wyratowała nas energiczna interwencya majora tureckiego. Ale o tem dalej.

Zaledwie powracamy z wizyt, już nas rewizytują. Persowie zjawiają się w otoczeniu szeregu służących, z których jedni idą przed panem, torując mu drogę przez tłum, drudzy posuwają się z tyłu. Służba zatrzymuje się u progu; goście wchodzą, zdejmując obuwie, a zachowując czapki. Mahometanie, Turcy czy Persi, o ile tylko strzegą dawnych tradycyj, rozstają się z obuwem, wchodząc do mieszkania. Co prawda, najbiedniejsze domostwo w Persyi—nie wiem jak w Turcyi—wysłane jest, jeśli nie dywanami, to choć matami. Te zaś najzupełniej są niezbędne, zważywszy, że drewniana posadzka stanowi dotąd zbytek bogaczy i legacyj państw europejskich. Ogólnie służy za podłogę bita ziemia. Biedacy kładą na niej matę; ludzie średniej nawet zamożności przykrywają matę dywanem, po którym nie jest ostatecznie zbyt przykro stąpać bez obuwia.

Pod *kholą* wygalają Persowie całkowicie głowę, pozwalając włosom rosnać tylko z boków i z tyłu. O ile wydają mi się pięknymi w czapkach, o tyle brzydcy są bez nich: naga czaszka świeci arcy-nieestetycznie. Zarówno mężczyźni, jak kobiety farbują ogólnie włosy za pomocą *heune* ¹⁾ na czarno-

¹⁾ Lawsonia—roślina, z której liści robią odwar, zwany *heune*, zabarwiający włosy i paznokcie na żółto-pomarańczową barwę; domieszka liści *indygo* wytwarza kolor czarny

rudy kolor. Uprawiają to farbowanie ze zdwojonym zapalem, dobiegłszy wieku, w którym zjawiają się pierwsze srebrne nitki. To też nie spotyka się tu wcale ludzi siwych; przez dwa lata pobytu w Persyi widziałam zaledwie paru białowłosych starców, nie uciekających się do żadnych „kolorujących” środków. Opinia publiczna uważała ich za *niebezpiecznych nowatorów*. Paznogie zabarwiają również Persowie brązowo-żółtym płynem.

Gdzie tylko się ruszymy i kogokolwiek u siebie przyjmujemy, zjawia się natychmiast na stole sakramentalna herbata w lilipucich szklankach. W ciągu dnia wypróżniać trzeba tych naparstków całe wiadra. W przerwach nasi goście palą kaliany, które słudzy przynoszą za nimi i trzymają wciąż w pogotowiu. Jeden z kupców ciągnie kalian przez kwadrans i nie obtarłszy go nawet, proponuje mi z wielką uprzejmością, bym go paliła w dalszym ciągu.

Konsul zaprasza nas na obiad, z którego powracam przygnębiona i przerażona. Wogóle dość obojętna jestem na subtelności gastronomiczne, nie mogę się jednak pogodzić z myślą, że skazana będę stale przez całe dwa lata na spożywanie tego rodzaju przypraw. Dań jest co najmniej piętnaście. Siekana lub drobno pokrajana baranina pływa w ostrych sosach, od których do łez się krztuszę. Też same piekielne ingrediencye zaprawiają sos, z którym podają kurę. Dalej idą pomidory nadziewane ryżem, pomidory nadziewane mięsem, pomidory niczem nienadziewane, a oblane śmietą-

ną. Pigwy nadziewane mięsem, pigwy nadziewane ryżem i jeszcze pigwy krajane podłużnie i smażone w tłuszczu. Zapomniałam o ryżu, zawiniętym w winne liście. Jest również ryż z palącym sosem, ryż z jakąś siekaninką, ryż z kebabem... ryż piękny, biały, sypki, lecz wciąż ryż, którego niebotyczne stopy widziałam już w bazarze, gdzie uliczni kucharze warzą go dla przekupniów i robotników.

Do stołu podają chleb, podobny z wewnętrznego wyglądu do żydowskiej macy, lecz tak miękki, że go można zwijać, składać do woli. Chleb ten, póki świeży, smakuje bardzo. Persowie pomagają sobie nim do nabierania ryżu, sosu, mięsa i zupy. Prócz bowiem niektórych dygnitarzy, zarażonych obyczajami Zachodu, pogardzają widelcem, łyżką i nożem. Chleb i palce za wszystkie przyrządy im starczą.

Nasz konsul trzyma się widocznie ściśle przepisów Koranu: na stole nie ma wina. Są zato sorbety i w kryształowych karafkach cukrzona woda do picia. Po skończonym obiedzie służący obchodzi gości z misą stalową, misternie inkrustowaną złotem i z dzbanka takiegoż wyrobu leje im na ręce różaną wodę.

Z długich wizyt Persów i z kwiecistych ich frazesów nic dla nas dobrego nie wynika. Sprawa naszego wyjazdu o krok się nie posuwa. Na szczęście, major rozsyła na wszystkie strony hotelowych służących, by przewiadywali się o karawany, do których moglibyśmy się dołączyć. Odkrywa w taki sposób jakiegoś czerkiesa, który ma eskortować do

Bajazydu jadącą z Konstantynopola żonę swego pułkownika, podróżującą z pół tuzinem dzieci, a drugim pół tuzinem służebnych. Czerkies najął trzy furgony, kolosalne bryki z okresu krzemienia łupanego, w których możnaby z łatwością zmieścić arkę Noego i wszystkich jej mieszkańców. Pułkownikowa z dzieciarnią, służbą, poduszkami, kołdrami, materacami i bagażami zajmuje całkowicie dwa wehikuly. W trzecim ma zaledwie cztery kufry, zmieścimy się tam doskonale z naszymi manatkami.

Wspaniały ten pojazd ma nas w dni 20 dowieść do Bajazydu za 600 franków. Major wychwała jego przymioty i upewnia, że furgon uchroni nas znakomicie od zimna, ulewy, wiatru i śniegu. Rzeczywiście rozciąga się nad nim na półobrzęczach pokrycie z grubego płótna i podartej ceraty... Jesteśmy w połowie października, a choć nam świeci jasne słońce i chwilami nawet skwar dokucza, należy pamiętać, że w górach temperatura znacznie już jest niższą.

Ja, osobiście, przekładam furgon nad *tachtarawan*, rodzaj lektyki, którą dźwigają muły, i nad *kedżawe*, najstraszniejsze z narzędzi średniowiecznej tortury. Składa się ono z dwóch kołysek, ciasnych i małych, o niskich daszkach, złączonych pałąkiem, nałożonym na grzbiet konia lub muła. Dwie ofiary losu i okoliczności zasiadają w dwóch tych klatkach. Przy najmniejszym ich poruszeniu *kedżawe* zamieniają się w huśtawki. Wolę stanowczo furgon. Kupujemy tylko parę materaców i kołder;

dniem będziemy na nich siedzieć, gdyż furgon trzęsie obmierzle; nocą zastąpią nam nieistniejącą na noclegach pościel.

Rzecz jest zdecydowana i ułożona; na dobiecie umowy wypijamy z czerkiesem kilkanaście naparstków herbaty.

Zaopatrzeni w listy polecające do konsulów perskich, a co ważniejsza, w zapasy spożywcze i w olbrzymią apetyczną pierzeń, której spreparowaniem zajął się był poprzedniego dnia stary Tomczyk, wyruszamy wczesnym rankiem z Trebizondy.

Tomczyk przydreptał już o szarym świcie.

— Czy wszystko dobrze upakowane i obwiązane? Niech - no pani siedzi spokojnie, już ja się tem zajmę.

I układa pocziwina w furgonie pościel, pilnuje bagaży, kłóci się z woźnicą i wymachuje kijem.

Major kurczy narghile i wymyśla na odjeźdźnym czerkiesowi, grożąc mu najcięższymi karami piekielnymi, gdyby nas dobrze i cało na miejsce nie dostawił. Pijemy razem ostatnie szklanki herbaty z cynamonem; przy pożegnaniu ofiarowuje mi jeszcze obfitą prowizję granatów i cytryn, wierny jest stanowczo tym owocom.

Tomczykowi głos się łamie ze wzruszenia:

— Mój Boże! taka droga, a wy tacy do niczego, wychuchani, wypieszczeni! Jak wy sobie poradzicie? Żeby choć ten czerkies się wami zaopiekował.

I zwraca się z długą przemową do dzikiej postaci, o grubo wyciosanych rysach i olbrzymich sumiastych wąsiskach. Lecz z pod krzaczastych brwi patrzą dobre oczy.

Już usadowiliśmy się, już furgon rusza. Tomczyk idzie za woziskiem i krzyżem nas żegna.

— Niech was Przenajświętsza Panienska ma w swej opiece. Niech was Bóg prowadzi!

Oczy mgłą mi zachodzą.

II.

Od Trebizondy do Erzerumu.

Furgon trzęsie się po kamienistych uliczkach miasta; jak piłki podskakujemy w górę, objijając głowy o poręcze budy, nad którą strzepi się fantastycznie niebieskie płótno, ochrona wątpliwa przeciw niepogodzie. Jedną z niespodzianek, jakie szykuje nam klimat górski, będą podobno nagłe a nieprzewidziane zmiany temperatury. Na jednym zakręcie drogi żar lipcowy, na drugim czeka marcowa zawierucha.

Po półgodzinnem mozolnem i hałaśliwym kołatanu się po zaułkach Trebizondy wjeżdżamy w góry, które półkrygiem miasto otaczają. Słońce pali, jak w gorące dnie lata, niebo roztacza szafir niepokalany, w powietrzu skrzą się złote pyły. Wyprzedzając o kilka kroków pierwszy furgon, jedzie nasz czerkies, uzbrojony, jak na krzyżową wyprawę,

chroniąc swą wojowniczą postać pod wielkim czerwonym parasolem. Trzy woziska suną zwolna za nim z przeciągłym zgrzytem i skrzypieniem kół ciężkich. Pniemy się w górę, drogą usianą wybojami; furgon to chyli się na bok, to podskakuje gwałtownie. Nabieram melancholijnego przeświadczenia, że nie dotrzemy żywo i cało na nocleg. W skroniach mi huczy, kości mam niewątpliwie pogruchothane. Nasz woźnica Mustafa, stary i straszny Tatar, odziany w brudny, zatłuszczony barani tułup, zszyty z niezliczonej ilości skrawków i skraweczków, a oddający watę wszystkimi porami, raz po raz staje na wozie i, za pomocą dzikich i ogłuszających krzyków zachęca konie do prędszego wytrzęsienia z nas ducha. Nader gadatliwy, zwraca się często, szwargocząc na zabój; w potoku wyrazów odróżniam wyraźnie; *bachczysz* ¹⁾ i „tytoń.” Nauczyliśmy się nieco podczas pobytu w Trebizondzie tej turecko-tatarskiej gwary, która jest tu potocznym językiem ludu; nie posiadliśmy jej jednak na tyle, by podtrzymywać rozmowę z Mustafą. Ograniczamy się na kiwaniu głową z wdzięcznym uśmiechem i na obdarzaniu go upragnionym tytońniem, co mu za najpiękniejsze frazesy wystarczy.

Droga, wyciosana w zboczu góry, okręca ją długim wężem, wiję się za nami i przed nami. Tędy podobno ciągnęły do Persyi zastępy greckie: zło-

¹⁾ Napiwek.



<http://rcin.org.pl>
Erzerum.

ciste hełmy i lśniące puklerze, jak słońca w słońcu promieniejące, szły murem zwyciężkim poskramiać barbarzyńców. I tędy wracały smutne rozbitki szeregów: to droga odwrotu „Dziesięciu tysięcy...”

Niestety wspomnienia ubiegłych dziejów ludzkości nie wystarczają, aby podróż uczynić przyjemną, a skalistą drogę znośną. Trudno myśleć o Ksenofoncie wobec przymusowej gimnastyki, na jaką skazują nasze nędzne ciała iście przedhistoryczne wehikuly. W dodatku wążki pas drogi tak wysoko już pobiegł ku szczytom, że niech tylko ten czwarty, stąpający tuż przy krawędzi koń robi jeden krok fałszywy, niech się pośliznie, a furgon, bagaże, konie i ludzie urządzają przedbajeczne salto-mortale w przepaść.

Raz po raz krzyczą przeraźliwie i chcą wysiadać. Mustafa odwraca się wtedy ku nam z uśmiechem, w którym pobłażliwość dla mej nieświadomości graniczy z pogardą dla mego tchórzostwa. Tłómaczy mi, że nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. Rozumie się! jakież niebezpieczeństwo może grozić podróżnikom, wiszącym o 800 metrów nad ziemią na skraju przepaści.

Po kilku godzinach rozpaczliwych wzywań na pomoc wszystkich potęg niebieskich, zaczynam się powoli uspakajać. Zwierzęta, w górach zrodzone i wyrosłe, znają każdy kamień, każdy krzaczek, każdy załom drogi, stąpają pewno i równo. Woznice są prawdziwymi mistrzami w swym zawodzie. Trzeba widzieć naszego Tatara wobec rozwalonej grobli lub wielkiego wyboju. Staje na wozie, ścią-

ga mocno lejce, tnie siarczyście batem i, wydobywając z gardła szereg nieludzkich wrzasków, z wściekłą fantazyą sady przez przeszkodę. Tak mi imponuje swą pogodą i swą zamaszystością, że nabieram do niego ślepego zaufania. Zaczynam przypuszczać, że gdyby wszystkie cztery nogi konia zawisły nad próżnią, a Mustafa furgonem kierował, potrafiłby jeszcze nas wyratować, wbrew wszelkim prawom fizyki.

Pierwszy ten dzień podróży przechodzi względnie wesoło. Czas jest przepiękny, a droga malownicza; panuje na niej ruch i ożywienie. Co kilka wiorst spotykamy kramiki z owocami; przekupnie biegną za nami, ofiarowując orzechy i winogrona. W południe dostajemy w zajeździe herbaty z samowara, razowego chleba i znów orzechów, winogron i rodzenków. Wieczorem, w osadzie Drewisty, gdzie zatrzymujemy się na noc, dają nam oddzielną izbę z dwoma tapczanami, zaopatrzonemi w bardzo prymitywną, lecz nie najbrudniejszą pościel. Niestety, nie ma kluczy we drzwiach, nie ma klamek, nie ma nawet zasuwek. Są zato koty, o czym nie wiedzieliśmy. Nasze zapasy przypadły im widocznie do smaku; budząc się następnego ranka, widzimy naszą pieczeń, wspaniałą pieczeń z Trebizondy porwaną, poszarpaną, obficie utarzaną w kurzu i oczywiście nie godną już ludzkiego podniebienia.

Rozumie się, że o miednicach, dzbankach do wody i innych luksusowych a zbytecznych wymysłach cywilizacji mowy tu nawet nie ma. Dobrze

jeszcze, że nie brak wody, czystej jak kryształ, źródlanej. Jedno drugiemu leje jej nieco na ręce... na co miednica?

Budzą nas już o 4-ej zrana, choć wyjechać mamy o 6-ej. I tak dzieć się będzie przez dwa miesiące, przez cały czas podróży. Daremnie tłómaczymy Czerkiesowi i Mustafie, wzywając na pomoc najwyrazistszą mimikę i cały nasz zapas tatarszczyzny, że pół godziny wystarczy nam na wszystkie przygotowania. Oni wytrwale budzą nas w noc czarną i ubrani czekać musimy półtorej lub dwie godziny, zanim karawana w dalszą drogę wyruszy.

Dragiego dnia pniemy się jeszcze więcej ku szczytom; na widnokregu wrzynają się w niebo śniegowe wierzchołki. Droga rozsnuwa się tuż przy szczytach. Pod nami głębokie wąwozy. Stoki gór porosły gęsto świerkowym lasem, strumienie tryskają ze skał; gdzieniegdzie stada owiec znaczą się na pokrytych trawą zboczach ciemnymi plamami. Niezwykle malowniczy krajobraz przypomina Szwajcaryę, lecz Szwajcaryę dziką, bez kolei, telegrafów i telefonów, bez wykwintnych szalecików, bez wspinających hoteli i fertycznych a wdzięczących się *Madchen* służebnych.

Tu wdzięczy się jeden Mustafa szerokim uśmiechem swych ust bezzębnych, prosząc o *bachczysz* i „tytoń”. Mijający nas „turyści” wyglądają na rozbójników. Spotykamy mnóstwo tatarskich arabaczów, zaprzężonych w woły krótkich wozów o dwóch olbrzymich, straszliwie skrzypiących drewnianych kołach. Arabaczi w baraniej czapie, o twardej

dzikiej twarzy, leży na workach mąki, lub wiązках chrustu, kurząc fajkę; woły stąpają leniwie. Melancholią wieje od człowieka, pojazdu i zaprzęgu... majaczą po głowie dumki Bohdana.

Wyciągnięte długim szeregiem karawany, koni, mułów, osłów kroczą ku noclegowiskom. Zwierzęta też niesłychanie są objuczone. Wielbłądy zdają się nieść stosunkowo mniejszy ładunek. Pod wieczór krzyżujemy się z pierwszą ich karawaną; podróżują bowiem przeważnie nocą, a dniem wypoczywają. Na parę godzin przed ich spotkaniem niosą nam echa górskie melodyjny śpiew dzwonek. Idący przodem wielbłąd, wyniosły i dumny, nie dźwiga nic na sobie. Czapraki ma różnobarwne z bogatą, puszystą frendzlą, a obwieszony jest, jak wieża kościelna, dzwonekami i dzwoneczkami bez liku. Jego towarzysze mają ich po kilka lub kilkanaście; on co najmniej kilkadziesiąt. Nad głową kołysze mu się olbrzymi pióropusz; mina zabawnie napuszona. Grubym sznurem połączony jest z drugim wielbłądem, drugi z trzecim i t. d.; zczepiają ich zwykle razem po dziesięć lub dwanaście. Stawiają z godnością wykrzywione kabłąkowate nogi, a tak pretensjonalnie poruszają głowę na wysokiej szyi, że widok ich rozwesela. Na pierwszym wielbłądzie każdej nowej seryi siedzi *czerwadar* w białych baranach, w płaskiej szerokiej czapie, odbijając jasną plamą od brudnej sierści zwierzęcia. Wielbłądy te są głównie jednogarbne, mniejsze, niż dromadery afrykańskie. Dość łagodne, kęsają jednak złośliwie, gdy je podrażnić.

Dnia tego mijają nas pod eskortą kilku żołnierzy dwie postacie z rozpaczą śmierci w oczach. Jednym łańcuchem zczepieni, we wspólną deszczułkę mają każdy zamkniętą jedną rękę. Prowadzą ich podobno do Trebizondy na egzekucję. Rabowali i zabijali—sprawiedliwość ludzka za krew krwią im płacić każe. Okropny ból ściska mi serce, gdy patrzę na beznadziejne i ponure twarze skazańców. Długo ściga mnie wspomnienie tego widoku.

Noclegi nasze są coraz opłakańsze; znika wszelki ślad tapczanów. Na ziemi leży mata, na macie dwa maleńkie materace. Osady, złożone z kilku lepianek, skleconych w sposób przygodny, czepiają się samych już szczytów. O paręset metrów nad nami ścielą się śnieżne płaszczyzny.

Pocziwy czerkies pielęgnuje nas jak może. Zaledwie umieści w zajeździe powierzoną jego pieczy hanum i jej gromadkę, wnet do nas przybiega, zakupuje prowizye ograniczające się, nawiasem mówiąc, do czarnego chleba, czasem jajek i mleka; rozdmuchuje ogień, przynosi herbatę. Uczy nas przytem turecko-tatarskiego żargonu i raduje się potężnym, podobnym do końskiego rżenia śmiechem, gdy jakie zdanie sklecimy. Siedzi tylko zbyt długo. Połamani, poobtłukiwani, oboleli, marzymy przez dzień cały o chwili, w której można będzie wyciągnąć się na posłaniu i rozprostować zmęczone członki. Czerkies urządza tymczasem u nas dwu- i trzygodzinne posiedzenia i gwarzy spokojnie, kurząc narghile i zapijając herbatę. Sam nie zna zmęczenia i nie zdaje sobie sprawy z naszego wyczer-

pania. Wszyscy zresztą spotykani w zajazdach podróżni uważają za obowiązek schodzić się do naszej izby na oględziny. Na progu chylą głowy z sakramentalnem „salamelekum;” wszedłszy, kłaniają się znowu i w milczeniu najczęściej nudzą nas swą obecnością przez godzin parę. Nie potrzebuję chyba dodawać, że siedzimy wszyscy na podłodze, z podwiniętymi pod siebie lub skrzyżowanymi po turecku nogami, co mi dokucza nie na żarty, oczywiście, brak jeszcze przyzwyczajenia. Nasi nieproszeni goście piją herbatę, kurzą fajki, papierosy lub narghile i zjadają mi hałwę, której ogromne zapasy zabrałem z Trebizondy dla zabicia nudy w drodze, a która topnieje jak śnieg na słońcu. Po tych niezwykle interesujących zebraniach zamieniamy znowu ukłony i uśmiechy i jeszcze ukłony. Nareszcie spać nam pozwalają.

Gdy trzeciego dnia podróży wyjeżdżamy z noclegu, chmury chodzą pod nami, spowijają w mgłę oparów ciemne szczyty świerków, pełzają po skalistych zboczach. Wierzchołków nie ma już nad nami; droga prowadzi przez wyżyny nagie i smutne, lśniące tu i owdzie brunatnymi płacami mchów wilgotnych. Otacza nas atmosfera tak lodowata, że i dobra doza „raki” rozgrzać nie jest w stanie. Po południu jednak szybko spuszcza się w dół, gdzie grzeje ciepłe słońce i lato śmieje się z wesołej doliny. W kępach zieleni gnieździ się mała miściana. Dnia tego widziałam gdzieś wysoko na skale i w skale wykutą samotną chałupę. Mustafa objaśnia nas, że pewien świętobliwy pustelnik pędzi tam

od lat czterdziestu wielce pożyteczne dla ludzkości życie.

Ardas, miłościna, do której zajeżdżamy, ma jedną dość długą ulicę, na której znajduje się bazar i parę zajazdów. Można tu dostać gorącej strawy; jakiś obszarpaniec, pełniący funkcję służącego, przynosi nam tłustej baraniny, pływającej w gęstym pomidorowym sosie. Jest tak obrzydliwa, że po paru kęskach wyrzekam się jej, mimo głodu. Pokoik dano nam długi i wązki, jak korytarz; ruszać się w nim niepodobna. Jakiś effendi, obdarzony litanją imion, z jakiej mógłby być dumny niejeden grand hiszpański, przychodzi w imieniu paszy (rodzaj burmistrza) dowiedzieć się, czy nam nie brak czego. Niestety, brak wszystkiego, lecz ani effendi ani pasza zaradzić temu nie potrafią. Gość nasz spędza z nami parę godzin na milczeniu, pełnem uśmiechów; następnego dnia o świcie zjawia się z pożegnaniem i ofiarowuje mi koszyk jabłek, najpiękniejszych, jakie zdarzyło mi się widzieć w życiu. Miłościna słynie podobno bardzo szeroko z tych znakomitych owoców. Dostałam też orzechów włoskich, obranych i nanizanych na nitki, jak paciorki różańca. Turcy — raz jeszcze to stwierdzam — zachowują się wobec podróżników nadzwyczaj gościnnie. Najmilszem wspomnieniem z tej podróży, które na zawsze pozostanie mi w pamięci, jest parodniowy pobyt w kilku tureckich domach.

Kiedy wyjeżdżaliśmy z Ardas, mżył deszczyk drobny, lecz gęsty, który przez dzień cały towarzyszył nam w drodze. Szare, zasnutę chmurami nie-

bo nakłada na pejzaż rozpacziwą melancholię. Droga prowadzi znów pod wierzchołki, krajobraz się zmienia. Góry, bogate widocznie w minerały, mienią się wszystkimi barwami tęczy; to są ciemnoczerwone, to zielone, to znowu prawie czarne. Kryją się w ich łonie niezliczone skarby, niewyzyskane dotąd przez człowieka. Ciemni pasterze, zdobywający w męce i trudzie twardy chleb nędzy, nie wiedzą, układając się do snu w swych tulących się do skały lepiankach, że spoczywają na milionach i milionach nieprzebranych, niewyczerpanych...

Po czternastogodzinnem kołataniu się męczeńskim po spadzistej i ślizkiej drodze docieramy, gdy noc już od dość dawna zapadła, do nawpół rozwalonego samotnego domostwa. Czerkies z trudem wynajduje w tej ruinie dwie ciemnice, mające naśladować izby; w jednej roztasowuje się jego hanum z dzieciarnią, w drugiej my się lokujemy. Drapać się do niej trzeba po zmurszałej drabinie, o szczeblach powyłamanych lub przegniłych. W powybijanych oknach zaklejono szarym papierem parę maleńkich szybek; przez puste otwory innych wdziera się wiatr z deszczem. Przez szpary zbitego z belek i krytego bitą ziemią pułapu, sączą się wolno i jednostajnie wielkie krople na podłogę z ziemi, pozbawioną nawet maty. Miejscami świecą kałuże lepkiego błota. Wzdłuż jednej ze ścian biegnie kulawa ława, jedyny mebel w tej izbie z melodramatu. Wichura dmie przeraźliwie, okna trzaskają raz po raz. Drzwi nie dopomagają im w tej muzyce zupełnie, bo ich niema. Zakopcona latar-

nia migoce żałości. Po półgodzinnem dumaniu nad wyższością cywilizacyjną bulwarów paryzkich, zaczynam zastanawiać się nad koniecznością samobójstwa.

Szczęściem, że czerkies nie pozwala nam pograżać się zbyt długo w smutnych refleksjach i zaopatrzywszy swe niewiasty we wszystko, co im dać może, prowadzi nas do wielkiej szopy, przylegającej do naszych rumowisk. Suty ogień bucha tam wspianym płomieniem, a naokół ognia zasiadły posępne, brodate postacie, kurząc fajki i ciągnąc narghile. W czarnym, żelaznym kotle warzy się perłowa kasza z pomidorami; w zadymionym czajniku kipi herbata. Nieznośny zaduch chwyta za gardło. Brodacze dysputują z zapalem i krzyczą jak głusi. Dostrzegam nagle z po za obłoków dymu dwa czerwone fezy. Pocziwe czerwone fezy! ustępują nam najlepszego miejsca przed ogniem, częstują chałwą i papierosami, wyszukują gospodarza jaskini, który raczy sprzedać nam chleba razowego i wstrętne brudnego, pokruszonego sera owczego. Na zebranie z osób kilkunastu są dwie szklanki i jedna łyżeczka; my pijemy w własnych kubkach. Nie mamy odwagi spróbować kaszy, którą Tatarzy czerpią łapczywie wprost z kotła.

Przeklinam w głębi duszy znajomych medyków Persów, którzy zapewniali nas w Paryżu i w Trebizondzie, że nie potrzebujemy obładowywać się zbyt zapasami, gdyż w drodze wszystkiego prawie dostaniemy. Pod wszystkim rozumieli owoce, jajka, mięso, kury... kury szczególnie, o które niesły-

chanie łatwo. O gorzka ironio! pierwszą kurę spożyliśmy w Erzerumie. Tymczasem musimy się zadawać chlebem razowym i słodkim lub kwaśnym mlekiem, a i to nie wszędzie znaleźć można. Konserwy znikają dziwnie szybko, nie zaspakajając głodu, bo ostre powietrze górskie rozwija chorobliwy apetyt. Chronicznie głód cierpię.

Wyjeżdżamy z naszego złowrogiego noclegu — płacąc zań w dodatku jak za porządny hotel, bo najpierwotniejszy dzikus wie, że niewiernego zdziierać należy — bez szklanki herbaty, skostniałi i przemokli. Dziś wieczorem stanąć mamy w dość dużym mieście, Bajburcie, pamiętając, jak Trebizonda, zamierzchłe epoki historii. Bajburt świeci nam niby gwiazda przewodnia.

— Za ile godzin tam dojedziemy?

— Za osiem, dziewięć najdalej — odpowiada Mustafa.

Furgony toczą się różnie, droga niezwykle jest równa i gładka; słońce weszło w całym majestacie. Po pięciu godzinach dobrego marszu wypoczywamy w przydrożnym „tchaïkhaneh” ¹⁾.

— Ile ztąd jeszcze do Bajburtu?

Mustafa drapie się w poczochrane kudły.

— Hanam, Bajburt blisko.

— No, ale za ileż godzin tam staniemy?

— Hanum, niezadługo... Za siedem godzin, może za osiem. Daj tytoniu, hanum!

¹⁾ Dosłownie dom herbaciany.

Bierze mnie ochota zadławić dziada. Rozumie się, że do Bajburtu już tego wieczora nie dojeżdżamy. Noc schodzi szybko ze szczytów, mrok spada nagły.

— Tu trzeba będzie się zatrzymać.

I Mustafa wskazuje mi biczem wielką fermę, otoczoną wiankiem drzew i dziwnie rodzinne kąty przypominającą. Już nie mam do niego żalu za zawód doznany. W fermie pulsuje jakieś silniejsze życie; ludzie krzątają się, z podwórza dochodzi gwar wesoły; widzę młode i uśmiechnięte dziewczęta w kostiumach armeńskich. Trafiliśmy więc do Armeńczyków.

Prowadzą nas do ogromnej izby, cieplej i czystej; na kominie płonie ogień; w kącie, na ziemi szumi samowar. Wzdłuż ścian biegnie wysoko półka, zastawiona kwaśnem i słodkiem mlekiem. Uśmiechają się życzliwie gospodarze, przysuwają nam do ognia materace, których widzę w izbie kilkanaście.

Otacza nas osób ze dwadzieścia, zasypujących nas pytaniami, na które odpowiadamy głównie gestami. Wszyscy ludzie należą do jednej rodziny, wszyscy też, młodzi i starzy, kobiety i mężczyźni mają dość miłe fizjonomie i przyjemnie na nich patrzeć po czterodniowej kontemplacyi wdzięków Mustafy i Czerkiesa. Mieszkańcy fermy robią wysiłki, by nas zrozumieć i jaknajlepiej nam usłużyć. Swoją drogą kolacya ogranicza się na jajkach i mleku. Czuję, że wegetaryanizm nigdy nie znajdzie we mnie adeptki i że nad tuzin jajek zawsze przekładać będę jeden befszytk. Nie prędko zadowolnię

ten luksusowy kaprys; w górach Małej Azji bęsztyki są mytem.

Gdy zaczynamy zbierać się do spoczynku, przychodzi rozstać się z jednym jeszcze cywilizacyjnym „przesądem.” W opłakanych stancyach zajazdów pozostawaliśmy na noc sami. Dziś musimy dzielić izbę z całą rodziną naszych gospodarzy. Będzie nas w niej tylko dwadzieścia trzy osoby płci obojga. Przy strasznem zmęczeniu i na pustyni „przesady” szybko znikają... Kładziemy się więc; nikt się nie rozbiera, my mniej niż inni.

Następnego dopiero ranka, po dwugodzinnem kołataniu się po zasypanych gęsto kamieniami rozdołach dobijamy do Bajburtu. Nie miasto to już, lecz stek brzydkich ruin, wiejących smutkiem i żałobą. Resztki murów obronnych świadczą, że była to niegdyś warowna forteca; teraz wszędzie gruzy, zwaliska, stopy głazów szarych. Przed miastem leży dawny cmentarz, z ziemi sterczą płaskie kamienie, świadczące, że to miejsce wiecznego wypoczynku. Przez ciasne uliczki do samego zajazdu, gdzie wypoczniemy nieco, biegnie za furgonem mnóstwo żebraków bezczelnie natrętnych, ohydnie brudnych, a świecących z pod łachmanów nędzą bezgraniczną, straszliwą. Gdy patrzę na te zagłodzone cienie pół zwierząt, pół-ludzi, ciężar grobowy spada mi na duszę i dławi ją bólem. Okropne widma oblewają naszą izbę... Ledwie damy jałmużnę jednym, zjawiają się drudzy; czerkies odgania ich, zupełnie zresztą bezskutecznie. Te wyciągnięte dłonie, te twarze wychudłe, lub skrofulicznie nabrzmiące, wykrzywione

w grymas wiecznego głodu, zatruwają mi zmorą smutku dzień ten cały.

* * *

Jeszcze trzy a noclegi, będziemy w Erzerumie, do którego wdychamy całą rozpaczą ludzi, spragnionych pościeli, snu i radykalnej toalety, o jakiej w „hotelach” przydrożnych i marzyć nie można. Nie będę szczegółowo tych dni opisywała. Najczęściej furgony toczą się po wyżynach, na dwa tysiące przeszło metrów nad poziomem morza; nie ma już nad nami szczytów. Z obu stron roztacza się ponura śnieżna płaszczyna, falująca i pogarbiona. Mróz ścina oddech i kłóje w płuca.

Jednej nocy znajdujemy przytułek w błotnistej norze, wzdłuż dwóch ścian której biegną podwyższenia ziemi, zastępujące tapczany i ławy. Dzielimy ją z rodziną nomadów, składającą się z pięciu osób i z dwoma młodymi Armeńczykami, znośnie mowiącymi po francusku, a udającymi się, jak my, do Erzerumu.

Ostatnim przystankiem przed miastem jest Ildze, dość ludna osada, znana w okolicy ze swych siarczanych kąpieli. W zajeździe dostarczają nam baraniej siekaniny, pachnącej łojem i smacznego ryżu. Nocleg jest znośny.

Wyruszamy dalej o świcie i w dwie godziny niespełna stajemy w Erzerumie.

III.

Erzerum — Kurdowie i Armeńczycy. — Droga do Bajazydu —
Ararat. — Karakilis.

Erzerum, położone na wysokości 1,900 metrów nad morzem, malowniczo przedstawia się zdaleka w otoczeniu gór, stanowiących naturalne tło wszystkich niemal miast Małej Azji i Persyi. Góruje nad niem z urwistej skały cytadela, nie mająca już podobno wielkiego znaczenia z punktu widzenia strategicznego, gdyż zbyt ją zamknięto w ciasne domów szeregi. Swoją drogą potrójna linia bastyonów i fortyfikacyj, otaczających miasto w okręgu kilkunastu kilometrów, czyni zeń najwięcej warowną fortecę Małej Azji.

Stolica Armenii tureckiej błyszczyc zdala kopułami paru świątyń; kilka minaretów strzela w niebo. Lecz gdy wjeżdżamy w ulice, doznajemy prędko rozczarowania. Brzydkie drewniane domy, pomalowane najczęściej barwami jaskrawemi, najzupełniej są pozbawione wschodniego charakteru. — Niezdarnie karykaturują zachód. Krzywe i wąskie

uliczki zalegają kałuże rzadkiego, zmieszanego ze śniegiem błota.

Furgon nasz zajeżdża tryumfalnie przed obrzydliwą budę, wymazaną w czerwone i szafirowe floresy, a świecącą na froncie pretensyjnym napisem „Hôtel d'Europe.” Domisko ma wjazd brudny, brudne, cuchnące schody i brudny korytarz. Lecz stancja zaopatrzona jest w dwa żelazne łóżka, w dwa krzesła i w stół heblowany. Otrzymujemy nawet skromniutkich rozmiarów miedniczkę.

Ezerumu nie należy stanowczo oglądać późną jesienią: szaty ma zbyt zbrukane. Poprzez rześisty deszcz i gęstą mgłę ulice i budowle przygnębiające czynią wrażenie. Jednakże jest to jedno z największych i najbardziej przemysłowych miast Małej Azji, mające 60 tysięcy mieszkańców. Lecz ludność ta myśli raczej o handlu baranami, których eksportuje rok rocznie za pokaźną sumę 27 milionów franków, niż o estetycznym wyglądzie swego grodu.—Żaden gmach nie wyróżnia się szlachetniejszą budową; nie mówię już o charakterze lub stylu. Latem i wiosną precudne słońce Wschodu krasi może ludzi i rzeczy; jesień i zima żałobnym i brzydkim kryją wszystko całunem.

W konsulacie perskim czeka nas gościnne, serdeczne przyjęcie Izaak-Misza-Khan, przedstawiciel „króla nad królami”¹⁾, ma tę niezwykłą wy-

¹⁾ Shan-in-Shan —król nad królami, jedno z niezliczonych, patetycznych określeń władcy Persyi.

tworność obejścia Persów z tak zwanego „towarzystwa.” Z wielką trudnością wysławia się po francusku, lecz pomaga nam do porozumienia się z nim Armeńczyk, pełniący w konsulacie jakieś nieokreślone funkcyje, człowiek wszechstronnie uzdolniony i władający kilkoma europejskimi językami. Konsul nalega, ażebyśmy zamieszkali u niego, wolimy jednakże pozostać w hotelu, gdzie mamy większą swobodę ruchów.

Tegoż dnia, na obiedzie u niego, poznamy kilku członków kolonij europejskich, należących wyłącznie do personelu konsulatów. W towarzystwie ich spędzamy dwa dni następne, szczęśliwi, że mówić możemy z ludźmi, którzy nas rozumieją. Od wyjazdu z Trebizondy ograniczać musieliśmy porozumiewanie się z bliźnimi do żądania *jukurtu*¹⁾, chleba i herbaty. To też do późnej nocy ciągnie się codzien gawęda. Wszyscy zastanawiają się z osłupieniem, jak mogliśmy wybrać drogę na Małą Azyę w chwili, gdy wzajemne rozjątrzenie Kurdów i Armeńczyków doprowadza do zająć krwawych, gdy w górach rozszaleni Kurdowie rabują, napadają, mordują. Trudno—zapóźnohy się cofać.

Antagonizm religijny i narodowościowy dwóch ras nie od dziś się datuje, ale od lat kilku wybuchu z całą potęgą wszędzie, gdzie się te rasy stykają. Armenia jest prowincją północno-środkową, Kurdystan południowo-środkową. Na całym wielkim pasie centralnym, zaczynając od armeńskiego miasta Siras, dążąc dalej przez Erzerum i Bajazyd

¹⁾ Kwaśne mleko.

ku granicy Persyi, dwa wrogie plemiona schodzą się na wspólnem terytoryum. Wioski armeńskie wrzynają się w posiadłości Kurdów; osady kurdzkie otoczone są przez posiadłości armeńskie. Kurd, w którego żyłach płynie wojownicza krew dawnych Medów, nieposkromiony i nieustraszony, rządząc się prawem silniejszego, wyrugowuje Armeńczyka z ziemi wszędzie, gdzie mu się tylko to udaje. Gdy nie dopnie swego, pali mu chatę, uprowadza dobytek. To też na całym tym pogranicznym szlaku nędza Armeńczyków jest bezgraniczną. Niestety, tchórzostwo ich również jest bezgranicznem.

Armeńczycy, jakkolwiek liczni i tem samym silni, nie śmiają się wprost bronić. Bejowie kurdcy, fanatyczną strażą swych wojowników otoczeni, rządzą w górach, jak u siebie, nie bojąc się żadnych ziemskich ani niebieskich potęg. Kurd, obwieszony bronią od stóp do głów, z jataganem, z fuzyą, z pistoletami, na króla gór wygląda. Nędzny, wystraszony, bezbronny Armeńczyk sam już przerażoną swą postacią zachęca drapieżnika do grabieży.

Podobno Armeńczykom nie wolno obecnie nosić broni. Zakaz był niepotrzebny, gdyż brak odwagi czynił broń zbyteczną.

To też, podczas gdy mała sekta Nestoryanów osiadła nad jeziorem Wan, znakomicie radzi sobie z wojowniczym sąsiadem, a rządząc się nie ewangeliczną, lecz najśluszniejszą w takich wypadkach zasadą: „oko za oko, ząb za ząb;” odpłaca Kurdom za każde spalenie wioski lub uprowadzenie bydła spaleniem dwóch wiosek i uprowadzeniem po-

dwójnej ilości bydła. Armeńczycy przygnębieni i nie-
szczęśliwi dają się łupić bezkarnie i pozwalają wro-
gowi wydzierać sobie z rąk szmat za szmatem upra-
wianą w ciężkim wysiłku, krwawym trudzie glebę.

Muszę zaznaczyć, że z przykrością i zdumie-
nieniem zauważyłam u Europejczyków, przebywających
w Małej Azji, dziwny brak politowania i sympatii
dla Armeńczyków, mimo ich niewymownie smutne-
go losu. Odpowiadają mi na me zarzuty, że naród
ten, który żył wiecznie pod jarzmem i od wieków
płacił kolejno haracz Persom w okresie ich wszech-
potęgi, Grekom za Aleksandra Macedońskiego, Rzy-
mowi i Byzancyum, zbyt przywykł płaszczyć się
i uginać karku. A wyzbywszy się w otoczeniu po-
tężnych i drapieżnych plemion wszelkiej odwagi,
przesiąkł fałszem, obłudą, przebiegłością. Przymio-
ty to, któremi nie zdobywa się przyjaciół.

Armeńczycy, osiedli w miastach i egzystujący
spokojnie pod opieką władz, mszczą się za niedolę
ubogiej i gnębionej braci wiejskiej, wyzyskując wszyst-
ko i wszystkich: ludzi, okoliczności i rzeczy. Zdo-
bywają też wielką przewagę materyalną. Wycho-
dzą z łona matki z czekiem pod pachą, rodzą się
bankierami i przemysłowcami.

.

Nasza droga prowadzi właśnie przez to fatal-
ne pogranicze, na którym sieją postrach rozrukane
bandy rozbójników. Opowiadają nam przerażające
historye o krwiożerczych czynach Fra-Diavolów gór

Armenii: Będziemy też, oprócz czerkiesa, zaopatrzeni w innych zbrojnych opiekunów w osobach dwóch tureckich żołnierzy, specjalnie funkcyje konwoju pełniących, a zwanych *zapties*. Można się przestraszyć ich nędznego wyglądu, lecz bynajmniej nie ich wojowniczej postawy.

Aby siły i energię pokrzepiać w drodze, kupujemy w jakimś sklepie armeńskim na wagę złota kilka butelek wytrawnego wina i koniaku. Potrzebne to tembardziej, że zapowiadają się w górach silne zimna.

Mustafa nas opuszcza. Krąży on od lat niepamiętnych między Trebizondą i Erzerumem i nigdy dalej nie wyrusza. Przyprawia nas swego zastępcę, Alego, młodego Tatara, o głupiej, księżycowo-okrągłej twarzy. Z prawdziwym żalem rozstajemy się z naszym starym, nagradzając hojnym bakczyszem jego mistrzowską umiejętność powożenia.

Mustafa przychodzi zrana w dniu wyjazdu, aby nas jeszcze pożegnać. Szwargocze mi długie życzenia, z których cośkolwiek zaczynam już rozumieć. Obdarza nas epitetami, mającemi świadczyć o sile jego uczucia, kiwa kudłatym łbem w baraniej, postrzępionej czapie i czule się uśmiecha bezzębnymi ustami, których grymas przechodzi w błogie rozpromienienie, kiedy w ostatniej chwili otrzymuje jeszcze dużą paczkę tytoniu.

Wyruszamy z Erzerumu 7-go listopada. Dzie sięć dni podróży dzieli nas od nowego większego



Kobieta z Kurdystanu.

etapu, którym będzie Bajazyd. Opuszczamy stolicę Armenii z przeświadczeniem, że w czeluściach gór czyhają groźni i waleczni Kurdowie.

Zmiana furgondżego na dobre nam nie wychodzi; przekonywamy się o tem boleśnie i dotykalnie. Opuściliśmy Erzerum o 9-ej zrana w smutny i szary dzień jesienny. Niebo rozplakane, pada drobny, gęsty deszczyk, siekący twarz przy podmuchach ostrego wiatru. To też po półgodzinnem narażaniu jej na zjednoczone złośliwości ulewy i wichury, odwracamy się tyłem do koni, tembardziej, że i krajobraz niczem wzroku nie nęci. Nagle rozlegają się krzyki, trzask i łomot piekielny. Zanim zdążyliśmy zrozumieć co nam grozi, leżymy już pod mnóstwem pak, przygnieceni przez konie. Furgondźi i jego pomocnik zdążyli byli zeskoczyć. Szczęściem skończyło się wszystko na przykrej chwili strachu, przez którą przemknęło przez myśl całe życie i śmierć w oczy zajrzała. Gdy wydobywają nas z pod pak, których sam ciężar mógł zabić, a które szczególnem zrządzeniem losu ułożyły się nad nami, tworząc jakby bardzo niskie sklepienie — okazuje się, że nie jesteśmy nawet zbyt potłuczeni. Zato z prowizyami naszemi źle się bardzo dzieje. Dobre wina, które miały wzmacniać, podręczna apteka — wszystko przepadło z kretesem. Czerwony strumyk Burgunda spływa po spadzistej drodze, niosąc z sobą szkła odłamy.

W najgorszym jednak stanie jest sam furgon. Woźnice wszystkich trzech pojazdów, czerkies i żołnierze zabierają się do naprawy z całym arsenałem

ciesielsko-stolarskich przyrządów, które każdy ze sobą wozi. Po trzygodzinnej pracy, której towarzyszy niezbędny akompaniament krzyków i kłótni— arka Noego gotowa do dalszej drogi. Jakkolwiek przez owe trzy godziny używaliśmy rozkoszy świeżego, górskiego powietrza pod potokami rozhulanego na dobre deszczu, jednakże wolimy nie korzystać nadal z tychże rozkoszy i iść piechotą, niż wsiąść do furgonu. Czerkies zaprasza nas do swej hanum, lecz dnia tego wszystkich pojazdów się boję. Większe mam do swych nóg, niż do tych wehikułów zaufanie.

Chcąc opisywać dzień po dniu drogę między Erzerum i Bajazydem, zbyt często musiałabym się powtarzać. Znów przez dni 10 będą nas budzić o 4-ej lub 5-ej zrana, by wyjechać o 7-ej lub 8-ej. Droga nie biegnie już wzdłuż skłonów gór, lecz nieskończenie jest gorszą od tej, która przez Anti-Taurus szła do Erzerumu. Niema już nawet właściwie drogi; tylko słupy telegraficzne wskazują kierunek, w którym jechać należy. To toczymy się po płaszczyźnie, to trzęsiemy się po wąwozach, to wdzieramy się na wyżyny. Nieraz wjeżdżamy na górę tak stromą, że zdaje się niepodobieństwem, by jakiś pojazd, a w dodatku ciężko naładowany mógł się na nią dostać. Kiedy jednakże docieramy do jej szczytu i widzimy, z jakiej pochyłości trzeba będzie w dół sunąć, wjeżdżanie owo wydaje się zabawką. Furgony wciąż stają, a furgondzi wciąż kopią, zagrzebują wyboje, usuwają stosy kamieni, zawałających drogę. Ciężkim trudem zarobią swe

pieniądze. Odprzegają też wciąż konie od jednego wozu, by je przyprządz do drugiego; pomagają sobie wzajemnie.

Widzę, że o ile w tych górach podróżuje się nie konno, lecz jakimkolwiek pojazdem, należy zawsze wybierać się z najmniejszą choćby karawaną. Inaczej przychodzi stać w miejscu bezsilnie i bezpomocnie całymi godzinami, zanim jaka ludzka dusza zjawi się z pomocą. A wypadków zawsze spodziewać się trzeba — są one wprost nieuniknione. Nie mówiąc już o nas samych, widziałam przez tych dni kilkanaście mnóstwo arabatów, ugrzęźłych w błocie, lub wywróconych, przy których ich woźnice wyczekiwali z rezygnacją zjawienia się jakiej ludzkiej istoty, którą Allah zechce zesłać im na pomoc. Allah nie zawsze się z tem spieszył, bo drogi tu są puste i ruch znacznie mniejszy, niż między Trebizondą i Erzerumem. Prawdopodobnie większa część karawan handlowych do tego miasta dociera.

Do naturalnych przeszkód gruntu, czyniących podróż niezmiernie uciążliwą, dołączają się dolegliwości atmosferyczne, które w tej porze roku hojnie zsyła niebo. Nastąpiła nagła i gwałtowna zmiana temperatury. Od wyjazdu z Erzerumu aż do Teheranu kroczy za nami zimno przeraźliwe, a gdy mróz zelży, smaga deszcz, lub chłoszcze wichura. Chmury spadają wciąż ulewą lub śnieżycą, a potoki niebieskie, wsiąkając w grunt rzadki i gliniasty, zamieniają drogi w przepaściste bagna, przez które

brną mozolnie biedne konie, zapadając się w wybojach niezliczonych.

Ja, po niefortunnym wywróceniu naszego woziska, straciłam całkowicie zaufanie do Alego, którego niedołęztwo jest zresztą kolosalne. To też przeważnie idę piechotą, wsiadając do furgonu od czasu do czasu, gdy droga jest zupełnie pewna, lub gdy turecka hanum pożycza nam uprzejmie swego furgondzi, młodego Kurda, o ślicznej, zuchwałej twarzy i wesołym dzieciennym prawie uśmiechu.

Kurd powozi nie gorzej od starego Mustafy. Niestety, rzadka nam go ustępują. To też bez przesady powiedzieć mogę, że połowę przynajmniej przestrzeni między Erzerumem i Bajazydem przebyłam na własnych nogach. Naśladują mnie często inni podróżni trzech furgonów, z wyjątkiem pułkownikowej i jej najstarszej córki. Obdarzone imponującą dozą przesądnego spokoju, niewiasty te ufają, że spotkać je może to tylko, co zapisane jest w księdze przeznaczeń — Kismet. Wysiadają więc jedynie na stanowcze i wyraźne żądanie woźnicy.

Dla nas na tę część podróży przeznaczenie odwróciło widocznie czarną stronę utrapień. Czwartego bowiem dnia furgon wywraca się powtórnie. Wyjechawszy zrana ze stacyi Eszel-Giejdas, której ortografii nie gwarantuję, ciągniemy do nowej wioszczyny, Taheru, gdy nagle dwie góry, jak dwie olbrzymie głowy cukru, stają przed nami. Pchane z tyłu przez zjednoczone męskie siły naszej karawany furgony wjeżdżają na szczyt pierwszej góry; dwa z nich zjeżdżają z niej szczęśliwie przy pomo-

cy tychże cennych sił męzkich, uwieszonych teraz z tyłu i zastępujących swemi postaciami hamulce pojazdów cywilizacyjnych. Kobiety i dzieci, cały ładunek ludzki furgonów, idzie piechotą, skarżąc się żałośnie na zimno i zmęczenie.

Alemu, zrodzonemu pod złą gwiazdą, nie jest danem podolać zadaniu zjechania w dół, nawet ze wszystkimi Husianami i Abbasami, zawisłymi u kabłąka furgonu. Wozisko wywraca się z powtórnym hałasem i hukem; łańcuchy, przytrzymujące pakunki, pękają, siejąc w biegu kufry, pudła, walizki; furgon wali się bokiem na ziemię.

Rozpęd był tak potężny, że pokrywy dwóch kufrów wyskoczyły z zawias, rzeczy sypią się w gęste błoto. Jakaś drewniana skrzynka, zmiażdżona doszczętnie, wyrzuca ze swego łona potłuczoną lampę i smutne skorupy, pozostałe z talerzy, jej pieczy powierzonych.

Lecz nauczyliśmy się już przyjmować przeciwności z niezmaconym spokojem. Los strzeże nas zresztą od najgorszej z przewidzianych niespodzianek: Kurdowie nie ograbili nas dotąd, ani nie okaleczyli. Dobrze i to!

Ponieważ „furgondzi”¹⁾ przebywają wprost drogę w ciągłym wysiłku rąk i grzbietów, więc przybывamy na noclegi o późnych, ciemnych godzinach. W górach noc schodzi nagle, przez zmierzch nie-

¹⁾ Furgondzi, arabatezi—woźnica furgonu, arabatu.

poprzedzona, a gdy jej cienie zalegną przestworza, gdy w przepaściach wąwozów czarno, jak w piekielnych otchłaniach—posuwać się naprzód trudno jest i niebezpiecznie. Latarnie przy furgonach, rozumie się, nie istnieją. Jak daleko wzrok sięga, nie widać chaty, ni ognia. Jedyne spotykane zrzadka ludzkie siedziby są te, w których nocujemy. Okolice to zupełnie niezamieszkałe. Na Armenię turecką i Kurdżystan, o obszarze 231 tysięcy kwadratowych kilometrów, przypada 2½ miliona ludności. Zważywszy przytem, że ludność skupia się przeważnie w miastach, łatwo sobie wyobrazić, jaką pustynią są te obszary.

Do wiosek dostęp coraz niedogodniejszy. Okropny stan dróg sprawia, iż furgony zatrzymywać się muszą o paręset kroków od osad. Więc, kierując się słabemi światełkami, migocącemi zdala niepewnym blaskiem, utykamy w dziurach, skaczemy przez kałuże, w których używamy przymusowych kąpeli i docieramy wreszcie do nędznych chałup tych tureckich lub kurdzkich wiosek, gdzie, po dłuższych pertraktacjach pomiędzy czerkiesem, żołnierzami i mieszkańcami, ci ostatni zgadzają się wreszcie lokować nas z sobą i bydłem w kurnych, w ziemi napół ukrytych chatach. Zdaleka taka wieś wygląda na szereg zlekka falujących pagórków. Przez niskie drzwiczki schodzimy po schodach w dół do niewielkiej sieni, za którą idzie izba, rozdzielona przepierzeniem, sięgającym do połowy wysokości pomiędzy ludzi i trzodę. Tłómaczą nam, że sąsiedztwo krów i owiec grzeje lepiankę w zimie.

Przepierzenia, a nieraz i ściany nędznych tych izdebek, rzeźbione są najczęściej w ażurowe, nie pozbawione fantazyi i piękności linii arabeski. Każdy pastuch rodzi się widać na Wschodzie trochę artystą. Te skromne rzeźby są całą ozdobą i celem umeblowaniem domostw; obecność istot ludzkich zdradzają jeszcze zaczernione od sadzy garnki i kilka łachmanów, zdartych i wystrzępionych, w które się na noc do snu zawijają. Jedyna to ich pościel.

Powiedziałam już, że wieś jest jak szereg pagórków falujących. Wzgórza te przedstawiają dachy chałup, ulepione z gliny, błota i gnoju. W każdym z nich znajduje się jeden otwór, służący za okno, drugi za komin.

Przy lepiankach leżą, wysuszone w okrągłe tafelki małe stożki gnoju, stanowiącego jedyne opał. Ta część Małej Azji jest bowiem najzupełniej z drzew ogołocona. Nigdzie nie spotykamy tam lasu, ani choćby małej kępy drzew; nigdzie najmniejszego krzaczka.

Do podpalania ognia używają suchych krzewów lawendy i róży jerychońskiej. Ta róża biblijna przedstawia się bardzo niefortunnie. Słyszając melodyjnie brzmiący wyraz, chciałoby się, aby wyraz ten określał roślinę piękną, barwną, przesycającą powietrze cudną wonią. Tymczasem ładną i zwodniczą nazwę nosi suchy, kłójący jak jeż, krzaczek o lotnych, jak puch białych kwiatkach, nagromadzają tego w chatach całe stosy, aby niecić pożary gnojowego ognia.

Nie jesteśmy we właściwym Kurdystanie, lecz przeważnie trafiamy po drodze na wioski kurdzkie i spotykani przez nas podróżnicy są też prawie bez wyjątku Kurdami. Po za pasterzami bowiem, którzy w tych górach osiedli, wałęsa się w nich mnóstwo koczowników. Czyżby godziny dni naszych były policzone?... Czekamy napaści. Uzbrojono nas przecież, w przewidywaniu jej, w dwa olbrzymie rewolwery i zaopatrzone w dwóch zaptiès, mających strzedz bezpieczeństwa. Bohaterscy ci wojownicy jadą wprawdzie zwykle o parę kilometrów przed nami; są więc właściwie nieistniejącą zupełnie ochroną. A rewolwery? Czerkies tłumaczy nam, że w razie napadu nie powinniśmy strzelać pod żadnym pozorem. Kurdowie bowiem dorównywają szczęśliwej pamięci Tellowi w sztuce celowania i zgładzą niechybnie ze świata nieostrożnego zuchwalca, któryby bronić się próbował. Najlepiej jest dać rozbójnikom obedrzeć się spokojnie do nitki; jedyny to sposób ujścia cało dla tych, którzy życie więcej nad błachość dóbr ziemskich cenią.

Nie powiem, ażebyśmy po tych ostrzeżeniach mniej drżeli o nasze ziemskie powłoki.

Nie chcąc się mijać z prawdą, muszę wyznać, że z niekoniecznie przyjemnem uczuciem mijaliśmy owych niezrównanych strzelców, obwieszonych bronią z najlepszych angielskich fabryk i z podełba złowrogo na nas spoglądających.

Na noc, jak już to powiedziałam, zajeżdżamy do wiosek kurdzkich. Zamknięci razem z gospodarzami w ich norach podziemnych, jesteśmy całko-

wicie na ich łasce i niełasce. Obsiadają nas naokół, śpią przy nas, mają nas w swej mocy. Lecz widocznie śmierć i obłupienie nie są nam przeznaczone; Kurdowie zachowują się wobec nas uprzejmie; nie zdierają nas nawet więcej za izbę i strawę, niż Tatarzy i Armeńczycy.

Na każdym noclegu cała wioska schodzi się nas oglądać. Widać, że Europejczycy nigdy tu nie docierają. Kobiety otaczają mnie kołem natrętnem; dotykają każdej części ubrania, obwąchują, kręcą głową i mlaskają językiem. Czekam tylko, kiedy zaczną przeprowadzać rękę po twarzy, aby sprawdzić czy mam taką, jak one, skórę. Wybuchają też wciąż szczerym i naiwnym śmiechem: kapelusz, woalka, kołnierz futrzany, mufka wprawiają je w osłupienie, graniczące z nieprzytomnością. Czy wydobędę grzebień, czy lustro, czy neseser podręczny, czy jakikolwiek drobiazg — krzyczą głośno i coraz namiętniej mlaskają. Przesiadują tak nad nami przez całe godziny. Najczęściej znikają dopiero wtedy, kiedy Czerkies, który zjawia się na pogawędkę i herbatę, całe zgromadzenie za drzwi wyrzuca.

Typ męzki i kobiety Kurdów jest piękny i nerwowy. Twarze ściągłe, o regularnych rysach, śliczne zęby, przepyszne czarne oczy. Kobiety nie noszą zasłon na twarzy; owijają tylko głowę chustkami, których końce w tył fałdami spływają. Dziewczęta zawieszają nad czołem frendzle cekinów, monet i różnych tanich błyskotek, wplatają też te świecidełka w warkocze. Uczesanie to odbija mało-

wniczo od jaskrawości kostyumów i ładnych, śniadych twarzy.

.

Parę szczegółów o samej drodze. Drugiego dnia podróży jesteśmy przy Araksie, który niedaleko ztał źródła swe bierze. Dwa nawpół zburzone mosty pamiętają podobno dawne wieki. Trzeciego dnia wpoprzek naszej drogi płynie czerwona zupełnie rzeka, o łożysku zarzuconem wielkimi płytami kamieni. Koniska nasze brną przez gęstą, krwawą, a raczej ceglastej barwy wodę, furgon trzeszczy, obijając się o kamienie, jak gdyby za chwilę miał się rozpaść w kawałki. Wysiąć niepodobna, a przy okropnej szarudze, która nam stale od Erzerumu towarzyszy, kąpiel w wezbranych nurtach byłaby już dodatkiem zgoła zbytecznym. Tegoż dnia zatrzymują nas dwukrotnie imponujące wertepy i rozdoły. Furgondzi torują i rozkopują drogę.

Innego znów popołudnia chwyta nas, w otwartej na wszystkie wiatry płaszczyźnie, rozszalała zamieć śnieżna, smagając twarz tumanami ostrych pyłów; rozciągają się gęste tumany między nami a tem, co się o kilka kroków dzieje. Błąkamy się przez godzin parę, bo nie widać nawet słupów telegraficznych, wskazujących woźnicom kierunek. Wreszcie docieramy do osady, w której przyjmują nas na noc.

Nazajutrz, gdy przychodzi wyruszyć dalej, dowiadujemy się, że droga do następnej wioszcyny

Kurdali znajduje się w tak oplakanyim stanie, że konie nasze nie podołają zadaniu uciągnięcia furgonu z całym jego ładunkiem. Najmujemy więc dwa arabaty, zaprzężone każdy w 4 woły, aby przewieźć bagaże. Sami zostajemy w furgonach, mimo, iż nieszczęsne woziska skaczą, zgrzytają, chylą się na bok niemożliwie.

Nie mamy jednak odwagi iść piechotą po tragicznie grzęzkim błocie. Furgondzi zużywają dnia tego cały swój zapas gardłowych krzyków i dziwnych nawoływań. Nigdy jeszcze od wyjazdu z Erzerumu nie dali dowodu równej energii, nigdy też nie mieliśmy przez kilkanaście z rzędu kilometrów drogi równie karkołomnej.

Tegoż dnia pod wieczór odkrywa się przed olśnionemi oczami widok wspaniały. Z lewej strony ciągnie się łańcuch gór, dzielący prowincye Kaukazu od tureckiej Azji; przed nami wznosi się w blasku i chwale, odosobniony od otaczających szczytów, królujący nad całym krajobrazem Ararat, uwieńczony niepokalaną glorią wieczystych śniegów. Żadna góra nie wywarła dotąd na mnie silnego wrażenia: lubię płaszczyzny i bezbrzeżne, szerokie horyzonty. Ale Ararat wzrok ciągnie i na długo go przykuwa. Jest wyniosły, majestatyczny, potężny. Może też wszystkie legendy przez zamierchłe epoki ludzkości, przywiązane do tej góry, ubierają ją jeszcze w czar szczególny.

Z prawej strony Araratu, choć dość odeń odległy leży Erywań, stolica rosyjskiej Armenii. Według dawnej tradycyi miasto zajmuje pierwszy

suchy płat ziemi, który Noe dostrzegł z wierzchołka świętej góry, gdy wody potopu opadły.

O kilkanaście wiorst od Erywania, zbudowany jakoby na miejscu rajy ziemskiego, rozłożył się Eczmiadzin, ze słynnym klasztorem, miejscem pobytu katolikosa, głowy kościoła armeńsko-gregoryańskiego. Tu Noe posadził po potopie pierwszy krzew winny. W skarbcu katedry eczmiadzińskiej przechowują troskliwie odłamek arki: anioł przyniósł go św. Grzegorzowi, patronowi Armenii, aby go pocieszyć po nieudanej próbie wejścia na świętą górę. Za naszych czasów góra stała się łaskawszą, nawet dla pospolitych śmiertelników, kilku już turystów dosięgnęło jej wierzchołków, między innymi rodak nasz Chodźko.

Ararat ma formę wyraźnie wulkaniczną — obciętej piramidy. Wierzchołków posiada dwa, jak gdyby szczyt był rozszczepiony.

Przez trzy dni ciągle go mamy przed sobą; wciąż nam potęgą swą imponuje. Zachodzące słońce kładzie na górę cudowne blaski i cienie. U podnóża ścielą się fioletowe smugi, wyżej srebrzystoniebieskie, wyżej jeszcze zielonkawo-różowe. Gdy zmierzch zapada, spowija się Ararat w ciemno-szafirowych mgieł zasłony.

Szóstego dnia zatrzymujemy się na nocleg w niewielkiej osadzie armeńskiej, gdzie zastajemy dwóch młodych, dość eleganckich oficerów tureckich, wysłanych na spotkanie naszej pułkownikowej z pogranicznego miasteczka Karakiliss. Podobno ta część drogi jest najniebezpieczniejszą. Kur-

dowie zasiedli w wąwozach i czatują na podróżników. To też towarzyszyć nam będzie oprócz oficerów i naszych zwykłych *zapties*, trzech nowych żołnierzy.

Młodszy adjutant ma towarzyską ogładę; wysławiają się dość poprawnie po francusku, zajmują się nami z niezwykłą uprzejmością. Jeden z nich jest synem komendanta wojskowego straży granicznej. Wyruszamy zrana pod liczną eskortą; mogą nas Kurdowie napadać. Droga jest usiana licznymi żuźłami pochodzenia wulkanicznego. Nic w tem dziwnego: naokół ze wszystkich stron widnieją wygasłe kratery. Martwa cisza zaległa powietrze. Spokojnie, szczęśliwie i cało dojeżdżamy przed nocą jeszcze do Karakiliss.

Miasteczko to niebrzydkie, o szerokiej głównej ulicy i względnie czystych domach. Skala moich wymagań po trzech tygodniach podróży spadła ogromnie, łatwo więc się zadowolnię. W Karakiliss istnieje kawiarnia, a w kawiarni nawet bilard. Tam nas tedy lokują i, zaledwie rozeszła się wieść o naszym przybyciu, odbieramy wizyty wszystkich przedstawicieli miejscowej inteligencji: dwóch lekarzy wojskowych, aptekarz, inżynier i paru wyższych oficerów, którzy ofiarowują nam swe usługi.

Ledwie zdążyliśmy rozłożyć manatki, już przynoszą na olbrzymiej tacy 10 przynajmniej potraw, zwyczajem wschodnim podanych jednocześnie. Ucztę tę przysyła Haki-Basza, komendant granicy, ojciec owego młodego oficera, który nam towarzyszył. Inżynier i jeden z doktorów dostarczają znów pościel

świeżej, czystej, której rozkosze ocenić dopiero mogą należycie ludzie oznajmieni z kurną chatą.

Mówiłam już o gościnności Turków i muszę się powtarzać, by stwierdzać nowe jej przejawy. W Karakiliss zatrzymują nas przemocą na dzień następny, dowodząc słusznie, że zwierzęta i ludzie gonią się ostatkiem. Z domu komendanta przysyłają w południe i wieczorem posiłki tak obfite, iż połowy potraw nie tykamy. Tureckie przysmaki, któremi pogardziłabym w Paryżu, wydają mi się lepszymi nad najwykwintniejsze specyały od Parliard'a i z Cafe Anglais. Nowi znajomi nie opuszczają nas prawie, a piją znakomicie, nie pomni zgoła przykazań Mahometa. Koniaki, araki i mastyk ¹⁾ znikają błyskawicznie w otchłaniach ich gardła.

Karakiliss jest posterunkiem granicznym, gromadzącym dość znaczną ilość sił wojennych. Stoi tu zawsze załogą parę pułków, co nadaje miasteczku pozory życia. Istnieje nienajgorszy bazar, w którym czynimy kilka zakupów.

Wyruszamy dalej o szarym brzasku, lecz i doktorzy i oficerowie i inżynier czekają już przed kawiarnią, by nas pożegnać. Widzę małżonka naszej „hanum,” który przyjechał tu po nią. Postać to ordynarna, mrukliwa, barczysta i czerwona. Zamieniamy bez entuzyazmu parę zdań lakonicznych. Jutro staniemy w Bajazdyzie. Tam furgon nas opuszcza. Ztamtąd do Tebrysu marzyć nie można o jakichkolwiek pojazdach. Kręte ścieżynki, pnące

¹⁾ Rodzaj anyżówki.

się po urwistych skałach, stanowią jedyną drogę po przez rozległe przestrzenie perskiego Kurdżystanu i prowincyi Aserbajdżanu. Trzeba będzie podróżować konno, na osłach lub mułach.

Zamiast jednej, dwie jeszcze noce spędzamy w nędznych kurdzkich legowiskach. Wydaje mi się już wreszcie, że te noclegi w pół-oborach są w najzupełniej naturalnym porządku rzeczy.

Oto na tle czerwono-krwawych gór widnieją mury Bajazydu. Dojedziemy tam za dwie lub trzy godziny.

IV.

Bajazyd.—Pobył u Dżiber-beya.—Awadżyk i przyjęcie u pa-
szy-Khana.—Droga do Khoj.

Bajazyd, wysoko w górach położony, twardo odrzyna się od ich tła czerwono-krwawego, przypo-
pielonego szarym pyłem. Wszystkie szczyty nao-
kół biją tą krwawą łuną, która przesycą powie-
trze i kładzie dziwne cienie na ubogie domostwa
mieściny.

W oddalonej przeszłości Bajazyd znał dni po-
tęgi. Uczepione u skał, jak orle gniazdo, miasto
miało podobno 10 tysięcy domostw. Dziś liczy za-
ledwie dwieście nędznych lepianek. Ruiny fortecy
i warownego zanku wieńczą jeszcze szczyt góry,
wznoszącej się nad niem.

Przeszło przez dwie godziny pniemy się po
stromych zboczach i wciąż wydaje nam się, że mia-
sto tuż przed oczyma. Furgon staje wreszcie na
środku małego placu. Spostrzegamy się wtedy,
że dwa drugie wehikuły zniknęły. Zniknął i Czer-
kies, który musiał iść za hanum i jej małżonkiem
Decydujemy się wysiąść, lecz nie wiemy, co po-

cząć z sobą. Otacza nas gromada ciekawych, których intrygujemy bardzo, ja szczególnie. Nie wesoło jest być europejską kobietą w górach Małej Azji!

— Państwo podróżni? Spodziewacie się tu może hotelu?—odzywa się ktoś za nami, wysławiając się wcale przyzwoicie po francusku.

Oglądam się. Widzę mężczyznę lat 40, o miłej otwartej fizyonomii. Ubrany jest w mundur oficera armii tureckiej.

— Moglibyście noc całą tak przestać, bo w Bajazydzie nie ma ani jednego zajazdu. Ufam więc, iż zechcecie przyjąć gościnę w mym domu—dodaje z ujmującym uśmiechem nasz interlokutor. — Nie obiecuję pani komfortu — zwraca się do mnie — o którym tu marzyć niepodobna. Ciasno u mnie i niewygodnie, lecz ciepło i czysto.

Nalega bardzo, a my też nie pozwalamy się prosić zbyt długo. Idziemy więc za owym naszym zbawcą do szarego niskiego domostwa, w którego podwórzu sługa oprawia barana. Maleńka sionka prowadzi do pokoju, zasłanego puszystym dywanem, umeblowanego po europejsku i rozkosznie ciepłego i wesołego. Na kominku bucha ogień, przed nim doskonały fotel, w którym mnie gospodarz usadawia. Krząta się sam, napędza służących, by prędzej obiad gotowali, przynosi koniak, zakąski, nalewa z samowaru herbatę.

Dopiero przed chwilą dowiedział się, kim jesteśmy, a nieznamomych przygarnął. Może to zwyczajny ludzki obowiązek w takich zapadłych kątach świata. Może... lecz niewielu z pewnością ludzi

umie go wypełniać z tak serdeczną dobrocią, z tak nieopisaną delikatnością. Pielęgnuje nas, jak ojciec najczulszy niedołążne, słabe dzieci. Zajęty jest nami od rana do nocy, prowadzi nas do miejscowych dygnitarzy, do konsula perskiego, do naczelnika miasta. Sam robi wszystkie zakupy na dalszą drogę, najmuje czerwadarów¹⁾, a targuje się z nimi zawzięcie, jak gdyby o jego własną kieszeń chodziło.

Pocziwy, drogi nasz opiekun, nazywa się Dżiber-bey i jest pułkownikiem w armii tureckiej (podczas naszego pobytu w Persyi został generałem). Od miesiąca zaledwie przybył sam z Konstantynopola. Bajazyd, tak jak Karakiliss, posiada dość znaczną załogę wojskową, która ożywia nieco jego głuchą martwość.

Kurdowie w górach nie próżnują. Nas tylko jakoś szczęśliwie dotąd oszczędzali. W przededniu naszego przybycia obdarli doszczętnie o kilka wiorst od Bajazydu kupca, Turka, który powrócił tu w adamowym stroju. Dżiber-bey poważne żywi obawy o nasze dalsze losy i toczy długie rozprawy z konsulem perskim. Czerkies, który po całych dniach tu przesiaduje, chcąc się nacieszyć jeszcze nami, gdyż szczerze do nas przylgnął, żywy bierze udział w tych dyskusjach. Decydują wreszcie, że przebedziemy kęs drogi pomiędzy Bajazydem i Khojkonno i najmują dwa konie dla nas, a cztery pod bagaże! Prowadzić nas będzie dwóch tatarskich czerwadarów, o twarzach chmurnych i dzikich.

¹⁾ Czerwadar-przewodnik

Za eskortę mamy trzech zapties, z których jeden opuści nas dopiero w Khoj, podczas gdy dwaj inni zmieniać się będą na każdym etapie. Dżiber-bey i konsul zaopatrują nas w listy do kilku dostojników perskiego pogranicza; żona Dżiber-bey'a przygotowała nam sporą ilość prowizyi. Bo nasz pułkownik ma brzydką, ospowatą małżonkę, z którą kilkanaście razy dziennie zamieniamy czułe uśmiechy i wciąż jedne zdawkowe frazesy grzeczności.

Trzy dni zeszły nam na przygotowanich. Wyjeżdżamy z Bajazydu w chłodny poranek zimowy. Pułkownik i Czerkies odprowadzają nas o parę wiorst za miasto. Dopiero, rozstając się z nimi, wsiadamy na koń; ja, notabene, po mężku, bo o kobiecem siodle marzyć nawet nie można w Bajazydzie.

Przykre wspomnienia zachowałam z tych kilku dni podróży. Beznadziejny smutek wieje od nieba, od żałoby obłoków, niosących śnieżne zawieje, od gór ponurych, których nie rozwesela żadna roślinność... Nasza nędzna gromadka zdaje się być zgubiona w tych rozpadlinach i wąwozach. Naszych czerwadarów nie chciałabym spotkać wieczorem na samotnej drodze.

Przystajemy raz po raz; Tatarzy i żołnierze zbierają chrusty i niecą ogień, aby choć przez chwilę rozgrzać skostniałe członki. Pijemy raki jak wodę, lecz nasi przewodnicy i zapties, strzegący wiadać ściśle przepisów Koranu, nie chcą nawet umoczyć ust w zakazanym trunku.

Pierwszego już dnia mieliśmy stanąć na per-

skiej ziemi w pogranicznej osadzie Awandżyku. Ale w południe zaczyna się srożyć straszna zawierucha, śnieg sypie kurzawą, wichura gna tumany białych pyłów. Spotykamy, na szczęście, jakąś kurdzką lepiankę, zgubioną w czystym polu. Sklecona jest z wielkich głazów i pokryta słomianą strzechą. Wewnątrz zimno przejmujące; śnieg wpada przez szczeliny ścian i dachu. Nie kładziemy się wcale, bo niema się gdzie wyciągnąć. Przez całą noc płonie nawóz i chrusty. Zamieć wciąż szaleje; o świcie dopiero wiatr cichnie nieco, lecz śnieg wciąż pada wielkimi, cichymi płatami. Trzeba odwagi, ażeby dalej jechać, tak nam jednak pilno do Awandżyku, pierwszej przystani na ziemi perskiej, gdzie już będziemy u siebie, że wyruszamy w drogę, przewyżając opór zapties i czerwadarów.

Przez cztery godziny brniemy przez śnieg i śniegiem zasypani, krok za krokiem, powoli, mozolnie. Wreszcie widzę zdala długie rzędy topoli, dom wielki na tle ogrodu. Zapachniał mi ojczystym krajobrazem, wiejskim dworem, tulącym się w klombie drzew ołbrzymich.

Niestety, radość przedwczesna. Haki-pasza, znany w Persyi bogacz i gubernator pogranicza, więcej jeszcze niż z fortuny słynie z potwornego skąpstwa. Przekonywamy się dowodnie, że na reputację taką zasługuje w zupełności.

Potentat ten przyjmuje nas w orszaku sług z wielką godnością, z pięknymi ukłonami i z długą przemową, w której rozwodzi się nad zaszczytem, jaki spływa na Persyę z przyjazdu wielkiego francuskiego okulisty. Zaledwie skończył, prowadzi mnie

do „enderumu,” kobiecej części domu, nie dawszy nam ani ogarnąć się, ani wypocząć. Przechodzimy przez obszerny ogród, w głębi którego wznosi się dość pokaźna budowla. Przebywa w niej żona Haki-paszy, jej dzieci i jej służba.

Przed drzwiami stoi szereg większych i mniejszych trepek. Gdy pan domu ze mną wchodzi, wszystkie kobiety, z wyjątkiem jego żony i córki, opuszczają szybko na twarz zasłony. Wszystkie też, nie wyłączając nawet małżonki, powstają, chyląc głowę w kornej pozie.

Hanum jego jest olbrzymia i potężnie tłusta niewiasta; kostyum jej przypomina ubranie naszych baletniczek. Na karykaturalnych nogach ma bawełniany trykot; na biodrach kołysze się króciutka a nadzwyczaj fałdzista spódniczka ze sztywnej materii. Krótka koszula, uwydatniająca jej rozsadziste kształty, spada na spódniczkę. Na koszulę nadziany jest otwarty z przodu kaftan z wytłaczanego aksamitu. Włosy hanum spadają na czoło krótką grzywką; z tyłu splecione są w pół tuzina przynajmniej warkoczy.

Kilka służebnych, znajdujących się w enderumie, ma kostyummy mniej dla mych oczu ekscentryczne: spódniczkę i kaftan nakrywa płaszcz, nałożony na głowę i do stóp spadający, a drapujący się dość wdzięcznie. Płaszcze te, które kobiety perskie noszą w domu, są barw żywych, szyte z muslinu lub kretonu w wielkie kwiaty. Lecz zato z pod spódniczki wyglądają długie i obcisłe męzkie spodnie.

Majestatyczna hanum, z naiwnością prostej

duszy ogląda mnie na wszystkie strony, jakby dzikie zwierzątko; materyał i podszewki sukni, buciki, kapelusze, futro, wszystko ulega natrętnej inspekcji. Wreszcie ciekawa ta niewiasta dotyka mych włosów i obejmuje mnie rękoma w pasie. Uczyniwszy to, wybucha głośnym i długim śmiechem. Jedna z jej służących, Tatarka, urodzona i wychowana w Tyflisie, z którą rozmówić się mogę dość dobrze, tłumaczy mi, że moja figura i uczesanie bawią tak szczerze jej panią.

— Ale ty nie zwracaj na nią uwagi, hanum. Ona głupia i prosta, ona nic nigdy nie widziała — pociesza mnie Tatarka.— Jej się zdaje, że ona piękna i pięknie ubrana.

Przez cały dzień hanum zasypuje mnie za pośrednictwem Tatarki szczytnie niedyskretnymi pytaniami. Dochodzę do stanu nieopisanego rozdrażnienia. Żadna dzika Kurdka nie była tak nieznośnie, tak ordynarnie ciekawą. Kilkoro zamorusanych dzieciaków, z jednym palcem w nosie, z drugim w ustach, stoi nademną, śmiejąc się głupio, jak matka. Po południu przychodzą na oględziny dorośli synowie Haki baszy z pierwszego małżeństwa.

Nikommu nie przychodzi na myśl, że mogę być zmęczona i głodna. Bez szklanki herbaty siedzę w enderumie przez trzy godziny. Wreszcie wchodzi służąca i stawia przed nami na dywanie tacę. Bo zapomniałam dodać, iż całym umeblowaniem olbrzymiej sali, której przednia, na ogród wychodząca ściana stanowi piękną mozaikę równobarwnych szybek, rzucających na ściany złoto-szafirowe cienie, jest wielki dywan całkowicie ją pokrywają.

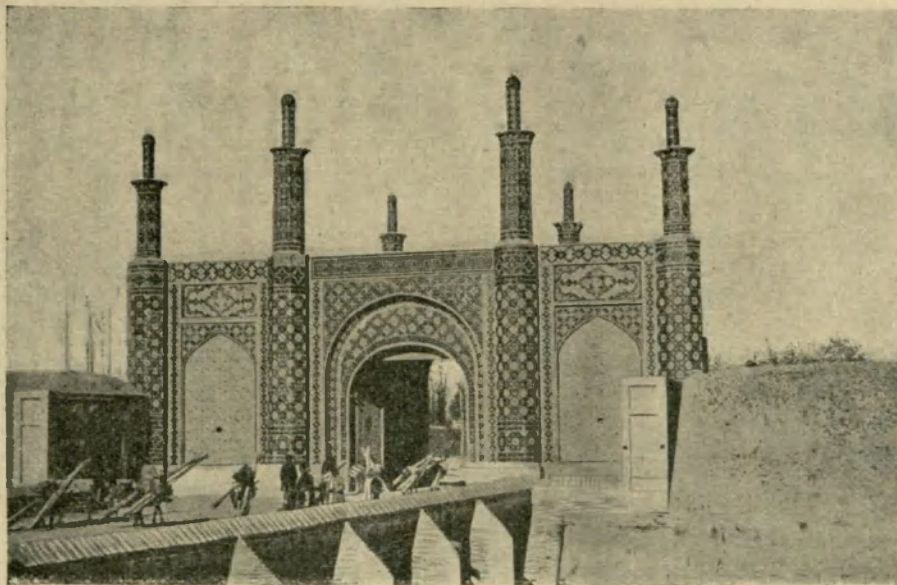
cy. Na dywanie, w kątach pokoju, leżą materace i wałki.

Siedzimy więc na ziemi, nogi pod siebie podwinąwszy; tak też jeść będziemy.

Na tacy stoi niewielka miseczka „juhurtu” ¹⁾ i druga zimnej kapusty, gotowanej w słodkiej wodzie; dalej mały talerzyk, na którym błąka się kilka płatków konfitur z róży, wreszcie parę wielkich szmatów chleba. Sądzę, że to tylko przekąska i niechętnie zabieram się do próbowania tych zimnych przysmaków, tembardziej, że niema ani jednej łyżki, i że pani i służące nabierają z ewangeliczną prostotą pokarm ze wspólnej miseczki palcami, pomagając sobie kawałkiem chleba, skręconym w postaci łyżki. Po chwili sprzątaję tacę i przynoszą herbatę. Był to więc obiad. O 8-ej wieczorem karmi nas ryżem, w którym zrzadka kołaczą się kawałki kurczęcia i znów podają herbatę w mikroskopijnych szklaneczkach.

Gdy nareszcie pozwalają mi wrócić na noc do naszego wspólnego pokoju w „birunie,” męzkiej części domu, rzucamy się zgłodniali na dobroczyzną pieczeń, ofiarowaną przez naszego przyjaciela Dżiber-beya, na owczy ser, rodzenki i mastyk. Śpimy w pokoju lodowatym; Haki-pasza równie mało rujnuje się na ogrzewanie swych gości, jak na ich żywienie. Ale przynajmniej umie ich doskonale wysysać. Mąż mój musiał w ciągu dnia obejrzeć zapłakane, zapalone i zaropione oczy dziesięciu przy-

¹⁾ Mleko kwaśne.



Teheran. Brama miejska na drodze do Kasbinu.

najmniej członkom jego rodziny — jest tam bowiem dzieci, jak piasku w morzu.

Tak minął nasz pierwszy dzień na perskiej ziemi. Kilka następnych wypadło równie niefortunnie. Pośpieszam jednak dodać, że z samego pobytu w państwie „króla królów” zachowałam raczej dobre wspomnienie.

Wspominałam już, że droga do Khoj najcięższą nam była i najsmutniejszą. Wyjeżdżamy z Awadżyku rankiem mroźnym i jasnym i przystajemy w południe w małej osadzie Gareini. Do naczelnika miejscowego mamy list od Haki-paszy, żądający dla nas dwóch zapties. Gdy oddaliliśmy się już o kilka kilometrów od wioski, jedyny żołnierz i czerwardarzy wyprzedzają nas o kilkaset kroków, a zjawia się konny jakiś wojak, wytrząsając fuzyą i żądając trzech franków. Oczywiście każemy mu się wynosić, bo takich obrońców znajdziemy w każdym górskim wąwozie.

Na następnej stacji miejscowy aga przysyła się o nas rozpytać, lecz ani nas do siebie nie zaprasza, ani usług swych nie ofiarowuje.

Poszczególnych etapów tej drogi opisywać nie będę, wszystkie wioski do siebie podobne, wszystkie jednakowo biedne, nędzne i brudne. Gdy zdala je widzimy, wyglądają wesoło i zachęcająco, osadzone topolami, otoczone ogrodami drzew owocowych. Lecz ogrody należą do władz miejscowych, a władze się nami nie zajmują. Ograniczają się na udzielaniu nam zaptiès, pełniących swe funkcyje bardzo oplakanie. Rycerze ci zjawiają się przed nami l;

tylko w chwili, gdy docieramy do miejsca noclegu by żądać zapłaty za urojone usługi.

Sypiamy, a częściej przesiadujemy noce, na poły drzemiąc, w spotykanych po drodze chatach osad kurdzkich lub armeńskich. Tak ciasno w tych lepiankach, że nieraz nie ma gdzie rozłożyć jednego materaca. Gospodarz, cała ich rodzina, zaptiès, czerwadarzy i my ciśniemy się na przestrzeni kilku metrów kwadratowych. Środek izdebki zajmuje ognisko, utworzone z kilku kamieni, ułożonych we wgłębieniu ziemnej podłogi. Zaduch w tych norach panuje okropny, tyle tam wilgoci, stęchlizny, tyle ludzkich oddechów. Tafelki nawozu palą się zwolna, napełniając izbę swędem i dymem.

Lecz więcej nad wszystkie niewygody dokucają nam czerwadarzy. Nie wiem kiedy i czy wogóle ci ludzie sypiają. Zajeżdżamy do wiosek, gdy noc już dawno zapadła; około 11-ej nastaje względna cisza, którą przerywa tylko chwilami ryk nieznośny osłów; w każdym razie układamy się, jak możemy, do spoczynku. O 12-ej czerwadarzy zapalają najspokojniej świecę i kurząc niemiłosiernie czybuki, szwargoczą hałaśliwie swą gardłową gwarą. Mimo potwornego wyczerpania i znużenia nie możemy spać przy tym kiermaszu. Około 3-ej zrana zaczynają wykrzykiwać nad nami, wołając, byśmy zbierali rzeczy i gotowali się do drogi.

Gwiazdy migocą jeszcze na niebie, kiedy już wyruszamy z noclegów. Przeziębli do szpiku kości, połamani, zbici, wpadamy w jakąś martwą apatyę, nie wierząc już, że skończą się te dni męczeństwa. Ani noclegi z bydłem, ani spieranie w lodowatych

strumieniach zbrukanej błotem odzieży, ani wypadki z furgonem, ani smutne w polu przystanki, gdy zawierucha w oczy garściami śniegu ciska i świat przesłania, nic nie nękało mnie tak boleśnie, nie roztrażało tak okropnie nerwów, jak te 5 dni podróży z czerwadarami dzikimi i pierwotnymi, jak ludzie epok przedhistorycznych. Nigdy nie czuliśmy się tak samotni i bezsilni, choć nie sami. Podróżujemy bowiem liczną gromadą. Nasi przewodnicy przyłączyli się do ogromnej handlowej karawany, składającej się co najmniej z 1,200 koni, mułów i osłów pod pieczęią licznych Tatarów.

Tatar nie uznaje widać życia spokojnego. Ciągną go góry, step, noclegi pod gołym niebem, karawany, pieśń dzwonek, skrzyp monotony arabatów. To jego życie i żywioł. Trudno wprost spotkać furganckich, orabaczich i czerwadarów innej narodowości.

W karawanie naszej stosować się musimy do wszystkich, nikt się do nas nie stosuje. Opuściwszy nocleg o 5 $\frac{1}{2}$ —6 godzinie rano, jedziemy do 7-ej lub 8 wieczorem, nie zatrzymując się ani na minut kilka.

Idąc koło swych zwierząt, jedzą Tatarzy nędzny swój południowy posiłek: szczyptę kruchego owczego sera, zawiniętą w szmat chleba. Gdy mijamy strumienie, piją z nich przyklękawszy; gdy nie ma strumieni, koją pragnienie garścią śniegu. A ja ich w tem naśladowuję, trawiona wciąż gorączką.

Konno jechać nie mogę, siodło męzkie zbyt jest niewygodne, idę znów wciąż prawie piechotą. I zdaje mi się, że końca tej drodze nie będzie, że

zmiecie nas śnieżycą, że z wycieńczenia i znużenia zlegniemy gdzieś w kurdzkiej chacie.

Po 12 więc, a czasem 14 godzin dziennie jesteśmy w drodze, bez chwili wytchnienia i wypoczynku. Ludzie jedzą cokolwiek, zwierzętom jednak pić nawet nie dają, aż na popasie nocnym. Podziwiam ich nadzwyczajną wytrzymałość. Tak są objuczone, że znikają wprost pod olbrzymią masą. Mówiłam już, zdaje mi się poprzednio, że najmniejsze stosunkowo ciężary dźwigają wielbłądy.

Nareszcie nadchodzi ostatni dzień podróży. Chmurny dzień świta; po niebie płyną bure obłoki. Pniemy się po prostopadłych prawie złomach, po skalistych, pełnych kamienia wąwozach; wezbrane śniegiem potoki wciąż przerzynają nam drogę. Po południu wydostajemy się na płaszczyznę i jedziemy, jedziemy przez długie godziny. Przewodnicy oznajmniają bliskość miasta, lecz miasta nie widać. Wreszcie jakieś niewyraźne formy i kontury zamajaczyły w mglistej dali. To miasto! Nie, to ogrody bez końca, otoczone szaremi, z błota ulepionymi murami. Ogrody i jeszcze ogrody i wciąż te szare mury, wzdłuż których biegną kanały, doprowadzające wodę. Obdarte z liści drzewa wyciągają nagie i smutne konary.

Nie wiem jak się stało, że zniknął nagle jedyny żołnierz, towarzyszący nam stale od Bajazydu; o dwóch drugich nie mówię, gdyż w połowie dnia nas opuścili.

Pytamy czerwadorów, czy prędko staniemy w Khoj? Tak, miasto już się zaczyna. Lecz co najmniej przez godzin dwie posuwamy się między

długimi alejami ogrodów, nie spotykając jednego choćby domostwa. Wreszcie wjeżdżamy w ulicę, pełną biednych kramów, oświetlonych naftowemi lampami, a założonych to owocami, to towarami korzennemi, to chlebem.

Każemy czerwadorom wieść się do Abbas-Ali-Khana, dyrektora poczt i telegrafów, do którego otrzymaliśmy polecające listy od konsulów w Trebizondzie i Erzerumie.

Słabo wierzymy po Awadżyku i pośrednich stacyach w gościnność perską, lecz choćby nas najgorzej przyjęto, przestaniemy wreszcie mieć przed oczyma wstrętne postacie naszych czerwadarów i katów. Skręcają oni właśnie w ohydny zaułek, dowodząc, że dyrektor poczt tam mieszka.

Nie wiem, jakie przecucie nas tknęło; w głosie Tatarza zabrzmiała widać fałszywa nuta. Przez głowę szybko mignęła myśl, że dom człowieka należącego do najwyższej arystokracji Persyi, nie może znajdować się w tej okropnej uliczce.

Mąż mój, wydobywając rewolwer i wyrzucając z ust cały zapas turecko-tatarskich przekleństw, w których się wykształcił w drodze, każe zawracać czerwadorom, gdyż Abbas-Ali-Khan tam *nie mieszka*.

Do dziś dnia zastanawiam się—nie znajdując na to odpowiedzi—czy Tatarzy byli w porozumieniu z żołnierzem, czy też chcieli skorzystać z jego nieobecności i zawlec nas do jakiegoś zbójckiego schroniska.

Faktem jest, że dyrektor poczt mieszkał

o parę kilometrów dalej, w dzielnicy bogatej, na ulicy szerokiej i ludnej. Faktem jest również, że czerwadarzy, którzy bezlitośnie dokuczali nam przez drogę, przyszli następnego poranka bardzo pokornie po swą zapłatę, nie śmiąc prosić o „bakczysz.”

V.

Khoj. — Abbas - Ali - Khan. — Wizyta w enderumie Kedzawe. — Droga do Tebrysu.

Noc zapadła już oddawna, kiedy czerwadarzy zastukali do jakiejś furtki w murze. Domów bowiem nie widać zupełnie na zewnątrz, wszystkie chronią się za szarą ścianą z błota. Otwiera nam jegomość w wysokiej kholi, w karmazynowych, lamowanych złotem aksamitach. Odedrzwi pokazujemy listy, jegomość czule się uśmiecha, uprzejmym gestem do wejścia zaprasza i prowadzi przez ogród do mieszkalnego domu, rozumie się samo przez się, że do birunu ¹⁾).

Trzech elegantów w aksamitach i atłasach zaczyna się koło nas uwijać. Pokój dają nam ładny, za całe umeblowanie wysłany jedynie wielkim dywanem; przednią ścianę tworzy ogromny witraż. Eleganci przynoszą materace, jedwabne wałki pod głowę i także kołdry, wreszcie dwa maleńkie stoliki. Niecą ogień, ustawiają na tacy samowar. Do-

¹⁾ Część domu, zamieszкана przez mężczyzn.

wiadujemy się od nich. że Abbas-Ali-Khan jutro dopiero wróci z kilkodniowej podróży, lecz oddawna już powiadomiony był o naszym przyjeździe z Teheranu przez ministra oświaty, który polecił nas jego pieczy.

Słudzy przyjmują nas w zastępstwie pana: przynoszą miseczkę zupy tak gęstej, że łyżka w niej stoi, jak wogóle we wszystkich perskich zupach, które bardzo łatwo jeść palcami i chlebem, odpowiednio zwiniętym.

Zupa jest esencjonalna i doskonała, po niej podają kurę z ryżem, doskonałe „kebaby”¹⁾ i soczysty słodki jak miód melon.

Stwierdzamy z zadowoleniem ludzi zmordowanych i nic po za posiłkiem na razie nie widzących, że mieszkańcy tego domu jadają i gości głodem nie morzą. Przytem gościnność służby świadczy wyraźnie o gościnności pana.

Abbas-Ali-Khan jest bodaj najbogatszym z obywateli miasta Khoj i należy do najstarszej arystokracji Iranu. Fanatyk w rzeczach wiary, ściśle strzeże dawnych obyczajów. Opiekuje się więc nami jak najlepiej; nie składa mi jednak wizyty, lecz prosi męża do siebie, gdyż prawowierne jego oczy nie mogą bez grzechu widzieć europejskiej hanum-hanum, chodzącej po świecie z odkrytą twarzą.

Z samego rana więc rozdzielają nas jak w Awadzyku: mnie prowadzą do enderumu, gdzie pani domu — drobna, czarna, chuda i niepiękna,

¹⁾ Kawalki baraniny pieczonej na rożenkach.

ubrana w męskie spodnie i spódniczkę baletnicy — wielki wdzięk wobec mnie roztacza. Na głowie ma muslinową chustkę na krzyż złożoną i spiętą pod brodą olbrzymim brylantem.

Spędzam w enderumie ośm co najmniej godzin. Hanum przez cały ten czas nie drgnęła z miejsca, na którym siedzi, nogi pod siebie podwinęwszy. Stoi przy niej kaljan, którym się raz po raz zaciąga. Przez cały dzień kipi samowar, a hanum sama rozlewa herbatę w maleńkie szklaneczki z maleńkimi również łyżeczkami, zdobnemi w lwy i słońca. Jedyne to zajęcie żony Abbas-Ali-Khana, jedyne też wszystkich kobiet perskich z wyższej sfery.

Będę miała sposobność mówić o tem obszerniej nieco później.

Po południu schodzą się tu żony wszystkich miejscowych dygnitarzy, by mnie oglądać. Wyglądają na żałobne cienie w czarnych lub ciemno-granatowych jedwabnych „czarudach” ¹⁾, z białą zasłoną na twarzy. Zasłona jest z płótna, czy perkalu; rysów twarzy domyśleć się pod nią niepodobna. Drobną siateczką ażurową, ściśle na oczy wymierzona, pozwala im świat boży oglądać jako tako.

Ubranie to na ulicę, jednostajne dla wszystkich perskich kobiet, wygląda nieestetycznie i nieefekownie.

¹⁾ Czadur—płaszcz jedwabny u kobiet z wyższej sfery, kretonowy lub satynkowy u biednych; zawsze czarny lub ciemno-granatowy. Nie wolno im wychodzić bezeń na ulicę. Nałożony na głowę, do stóp samych spada



Derwiz.

Przybyłe hanum zrzucają czadury i zasłony. Mają pod nimi bufiaste, jedwabne, różnokolorowe szarawary, do których przyszyte są, całość z nimi stanowiąc, także same jedwabne o zaostrzonych końcach trzewiki.

Wychodząc na ulicę, nadziewiają jeszcze na nogi pantofle, czy też sandałki skórzane. Reszta ubrania podobna jest do kostyumów, które wyżej opisałam.

Hanum wdzięczą się wszystkie i siłą na wielką uprzejmość. Przyglądają mi się dość dyskretnie, dopytują się o „Frenghistan”¹⁾ i jego obyczaje, kiwają głowami, mlaskają językami, lecz zachowują pewne formy towarzyskie.

Nie wiem, czy chciały mnie oczarować przepychem swych toalet, czy też dzień był świąteczny, dość, że obwieszone były drogocennymi kamieniami, jak święte byzantyńskie. Na włosach nad czołem wspaniale złote przepaski, wyiskrzone brylantami i szmaragdami, tudzież naszyjniki z pereł, turkusów i szafirów sieją łagodne blaski. Pierścionki o kamieniach zbyt wielkich i źle oprawionych, odbijają nieładnie od rąk suchych, czarnych, o paznogiach na bronzowo przez „henne” zabarwionych. Niektóre z pomiędzy nich są młode i urodziwe, lecz wszystkie nadmiernie wybielone, wyróżzowane, wykarminowane. Brwi, złączone szeroką linią koholu, psują piękne oczy i nadają twarzy ostry wyraz. Pra-

¹⁾ Europa.

wdziwe elegantki czernią również kohołem drobny puszek na górnej wardze.

Nie mogą one zrozumieć, dlaczego ani oczu, ani twarzy nie mam pomalowanej.

Dopytują się, czy używam chociaż pudru i perfum? Proszą, ażeby pokazać im nasze przybory toaletowe. Flakony i pudełka krążą z rąk do rąk.

Najładniejsza z młodych hanum, dźwigająca w brylantach na swej osobie fortunę paruset tysięcy franków, naiwnie prosi o trochę pudru, który zdaniem jej, bardzo ładnie pachnie.

Przyjmuje dar z najwyższą radością. Ofiarowuję go jej w pudełeczku z lusterkiem, które w zachwytyt wprawia wszystkie damy.

Nieraz później miałam sposobność stwierdzić, z jakim bezkrytycznym uwielbieniem Persowie, tworzący sami tak artystycznie piękne rzeczy, patrzą na najordynarniejsze drobiazgi europejskie. Zdawałoby się, iż im są brzydsze – tem bardziej ich nęcą.

Wszystkie damy palą kaljan lub papierosy. Zaciągnąwszy się papierosem, podaje się go następnie swej sąsiadce. Jest to dowodem najwyższej uprzejmości, której sobie wzajemnie nie żałują. Kaljan również z rąk do rąk i z ust do ust przechodzi. A ja, która nigdy nie paliłam, daremnie się bronię i muszę dokończyć papierosa po gospodyni domu.

Wizyta elegantek trwa godzin parę, pijemy herbatę, zajadamy różne „szirini” ¹⁾ i rozpływający się w ustach melon.

¹⁾ Szirini słodczyce, przeważnie cukierki.

Jakkolwiek czuję się zmęczona, dzień ten nie pozostawia mi przykrego wrażenia. Poznałam świat arystokracji perskiej; ciekawość tych kobiet wobec mnie nie była ani natrętną, ani nieprzyjemną: zwyczajna ciekawość ludzi, nie znających europejczyków.

A przekonywam się, do jakiego stopnia europejczyk, szczególnie rodzaju żeńskiego, jest tu dziwowiskiem: gdy następnego ranka wybieramy się do bazaru w towarzystwie służącego w karmazynowych aksamitach, tłum tłoczy się za nami z krzykiem:

— Ferengi, ferengi! hanum ferengi ¹⁾).

Dzieciaki ciągną mnie za suknię, starsi obstepują. Fanatyzm religijny jest tu zbyt wielki, aby kobiety z odkrytą twarzą mogły bezpiecznie krążyć po ulicach.

Wracamy więc pospiesznie. Nie potrzebuję dodawać, że więcej na miasto nie wyszłam.

A pierwsze to czyste zewnętrznie miasto, jakie widzę od początku podróży. Dość ludne i rozrzucone na bardzo obszernej przestrzeni. Domów liczy podobno 9 tysięcy, a wszystkie chronią się za szaremi błotnymi murami i otoczone są ogrodami. W każdym, najnniejszym choćby ogródku, znajduje się mniejszy lub większy basen, często bardzo z fontanną. Widzę przez okno, jak domownicy myją się w tym basenie.

Hygiena ciała nie jest snac̄ największą ich troską, bo zlekka tylko rozmazują po twarzy i rę-

¹⁾ Frengi lub ferengi—cudzoziemiec, europejczyk.

kach kilka kropli brudnawej wody i uważają się za umytych.

Ogród enderumu posiada zazwyczaj drugi basen.

Ludność miasta składa się z Persów, Armeńczyków i Kurdów, wzajemnie się nienawidzących i szkodzących też sobie wzajemnie w miarę sił i sposobności.

Prawdziwy Pers-farsi obdarzony jest wielką dozą wyrozumiałości w kwestyach religijnych, politycznych i narodowościowych. Lecz zarówno w Khoj, jak w Teheranie i wogóle w północnych prowincjach mało jest tych farsi. Zamieszkują je przeważnie Turko-Tatarzy, pochodzący od dawnych Medów, którzy, jakkolwiek złączeni ściśle z Persami jednością religijną i polityczną, różnią się od nich pod wielu względami.

Przedewszystkiem są ci potomkowie Medów odważniejsi, więcej też szczerzy i prości, ale i więcej fanatyczni i zawzięci, bo mniej inteligentni, mniej sprytni. To też walka narodowościowa szczepów w skład Persyi wchodzących, przybiera nieraz w tych częściach bardzo ostry charakter.

Wyrzekają tu mocno na Kurdów. Dzicy i okrutni, odważni i wytrwali, zręczni i pozbawieni skrupułów, dają się we znaki swym władcom i terroryzują ich, jakby sami byli panami. Bez kwestyi, rządzenie nimi nie musi być rzeczą łatwą; niesforne to plemię i nieokiełznane, nie uznaje wędzidła. Wogóle jednak zdaje mi się, że przedstawiają nam ich w przesadnie ciemnych barwach.

Po dwudniowym w Khoj wypoczynku ruszamy

dalej. Do Tebryzu podróżować mamy w *kedżawe*. Należy widać, byśmy wypróbowali wszystkich narzędzi nowoczesnej tortury. Służący w karmazy-nach kupuje dla nas w bazarze te kedżawe, to jest kołyski, klatki, a najwłaściwiej budy. Urządza w nich granatowe firanki i bajecznie nas na tem zakupnie obdziera

Nie wiem, czy Abbey-Ali-Khan nie umiał oprzeć się grzesznej ciekawości ujrzenia *hanum frenqi*, czy też gościnność wielkiego pana przemogła obawę kar Allaha — dość, że ostatniego ranka przed wyjazdem składa mi wizytę w towarzystwie jednego ze swych kuzynów, mówiącego doskonale po francusku. W pięknych i kwiecistych frazesach, tajemnica tworzenia których prawdopodobnie wraz z rasą perską zaginie, wyjawia mi życzenia, by jego ojczyzna wogóle, a Teheran w szczególę jak najdłużej cieszyć się naszymi osobami mogły. *Insz - Allah* ¹⁾, tak się stanie.

Bawi mnie niewymownie ta formuła, którą Pers zakończy każdą rozmowę i wykręca się też nią z każdej sytuacji. Bo żaden, absolutnie żaden Pers, zaczawszy od szacha, a kończąc na ostatnim z jego poddanych, nigdy na nic wyraźnie nie odpowie i do niczego się kategorycznie nie zobowiąże. Przyparty do muru, odpowie zawsze *Insz Allah*. Stanie się według twych życzeń, jeśli Allah pozwoli. A z Allahem różnie się dzieje.

Lecz o tem później. Wracam do naszej po-

¹⁾ Jeśli Allah pozwoli.

dróży. Siadamy do kedzawe, podwinąwszy pod siebie nogi: inaczej nie można, bo głowa obija się wnet o dach budy. Na odjeźdne dowiadujemy się, że karmazynowe aksamity okrywają brata pani domu, nie mamy więc odwagi ofiarować mu bak-szyszu. Lecz on bardzo wyraźnie czeka na podarek, otrzymuje też na równi z innymi służącymi *tomana* ¹⁾, którego przyjmuje z uśmiechem zadowolonia.

Niema stanowczo pomiędzy najwięcej przed-historycznymi środkami lokomocyi nic przykrzejszego nad *kedzawe*. Mówiłam już poprzednio, że dwie kołyski, złączone kabłąkiem, zwieszają się z dwóch stron zwierzęcia i że najmniejsze naruszenie równowagi sprowadza tragiczne komplikacye. Bezsilny podróżnik doznaje uczucia, jakby wsadzono go na huśtawkę, której zatrzymać, ani z której zsiąść nie może.

Chwilami znów zdaje mu się, że jest w szale nie krążącym dyabelskim młynie, którego rozkoszy nie próbowałam nigdy, lecz je sobie tak przedstawiam.

Ledwie wyjechaliśmy za miasto, a czerwadar już o parę tomanów cenę przewozu podnosi pod pozorem, że w ostatniej chwili musiał najać jednego więcej konia pod rzeczy. Przez parę kilometrów drepce za nami kilku obdartusów, upominających się o nagrodę za jakieś niebывałe usługi. Uważają, że należy im się lekki haracz od *frengi*. Nie

¹⁾ Toman — pięć franków.

odmawiam słuszności ich rozumowaniu, rzuca im parę srebrnych monet. Nie taki haracz pobiera Europa od biednych egzotyków, rzuconych jej na pastwę.

Nietylko ci nędzarze chcą się na nas zzbogacić. Dano nam w Khoj idealnego podobno zapties, który na noclegach gorliwie się wszystkim zajmuje, przyrządza herbatę, kupuje chleb, jajka i nieliczne inne prowizye, zrzadka się trafiające. Pieniądze na płacenie za wszystko jemu powierzamy. Lecz na trzecim noclegu wybucha kłótnia między zapties i gospodarzem naszym, Armeńczykiem. Okazuje się, że „pocziwy” wojak okradał nas i zdierał haniebnie biedaków, u których znajdowaliśmy przytułek, oddając im zaledwie czwartą lub piątą część branych od nas na opłacenie ich pieniędzy. Ciemny ten barbarzyńca trzymał się wielkiej i doniosłej cywilizacyjnej zasady: brać na lewo, brać na prawo, brać wszędzie, więc skubał nas, skubał Kurdów i Armeńczyków, skubał może i czerwadarów.

Przejazd do Tebrysu trwa dni cztery. Drugiego dnia rankiem góry pokazują nam nową, nieznaną jeszcze fizyognomię.

Nigdy nie widziałam podobnego nagromadzenia skał, fantastycznie spiętrzonych, nigdy takich niebotycznych zsympowisk brył i kamieni, nigdy takich posępnych i złowieszczych kotlin, w których zdaje się czaić śmierć i zbrodnia, nigdy też szczytów tak pokruszonych i poszarpanych. Wygląda to jak pole walki olbrzymów z legendy, którzy odrywali z tych wierzchołków potężne złomy i ciskali je w czarne czeluście wąwozów.

Wielkie kataklizmy przejść musiały nad tym kątem ziemi i wstrząsnąć jego łonem, przetworzyć jego postać. Chwilami mury gór stoją prostopadle i tak do siebie zbliżone, że w ciasnej gardzieli między nimi jedno zwierzę stąpa z trudnością. Ze ścian skały sączy się woda kroplami; drogę przeciwną cienkie smugi strumieni.

Idziemy tu piechotą, bo kędzawe trą się wciąż to z jednej, to z drugiej strony o gór występy, co arcy-nieprzyjemne sprawia wrażenie ofiarom, zamkniętym w tych budach. Droga, zawałona omszałymi głazami, pnie się w górę linią dziwacznie pokreconych wysokich schodów, a następnie biegnie w dół równie gwałtownym spadkiem. Raz jeszcze podziwiam zdumiewającą zręczność górskich zwierząt; stąpają przezornie, lekką a pewną nogą; nieraz poślizną się, nieraz kamień z pod stóp im się toczy—nie upadają nigdy.

Zatrzymujemy się w tej części drogi u Armeńczyków, bo spotykamy li tylko wioski armeńskie. Na dwóch ostatnich noclegach panuje w domu względna czystość i znać, iż mieszkańcy odczuwają pewną potrzebę wygody.

Izdebki wysłane są matami, na które rzucono kilka małych dywaników. Okienka mają szyby z grubego, tłuszczem przesyconego papieru. Zewnętrznie wyglądają te domostwa niepozornie; wyższe może nieco od chłopskich naszych chałup, lepienie są z gliny i błota; płaski dach, z błota pomieszanego ze słomą, spoczywa na kilku krzyżujących się belkach.

Czwartego dnia szkli się zdala uśpioną taflą

wód ciężkich jezioro Urmiak. (Schah-i-Dar—dosłownie morze królewskie). Fala jego bardziej jeszcze jest słona, niż gęste wody morza Martwego. Ani roślinność, ani ryby żyć w niej nie mogą. Jezioro Urmiak rozlewa się na szerokim obszarze 4,000 kilometrów kwadratowych.

Czerwadar, stanąwszy dnia tego pod wieczór w osadzie, o parę godzin od Tebrysu odległej, nie chce stanowczo ruszyć dalej. Nic nie pomagają groźby, zaklęcia, krzyki. Każemy więc rozjuczyć konie, które niosły bagaże, i wyruszamy ku miastu wraz z naszym zapties. Noc zapada szybko, nie już ani przed sobą, ani z zewnętrznego wyglądu stolicy Aserbajdżanu nie widzimy. Dotarliśmy wreszcie do bram miasta.

VI.

Tebrys. — Podróż Wallieta do Teheranu. — Kilka słów o Musaffer ed-dinie — Droga od Tebrysu do Teheranu. — Mianeh. — Zendżan. — Kasbin. — Ruiny zamku Nabateńczyków. — Droga od Kasbinu do Teheranu.

Tauris, Tabris lub Tebrys, miejsce zamieszkania następcy tronu, pełniącego zazwyczaj funkcje gubernatora prowincyi Azerbajdżanu, jest dziś najwięcej ludnem miastem w Persyi. W podręcznikach geograficznych dają mu zaledwie 120 tysięcy mieszkańców, podczas gdy Teheran obdarzają hojnie 150 tysiącami. Cyfry te są bezwarunkowo niedokładne, gdyż miasto Wallieta ¹⁾ posiada w swych murach ludność większą, niż stolica Wszech Iranu.

Tebrys, jak wiele innych miast Persyi, założony został w epoce Harun-al-Raszyda, owego hali-fa z bajek tysiąca i jednej nocy, o którym opowieści czarowały i czarują jeszcze młodociane umysły. Wybudowała go jedna z żon Haruna, przecudna Zobeida, w końcu ósmego wieku naszej ery.

¹⁾ Walliet <http://www.eim.org.pl> następcą tronu.

Chardin ¹⁾ w swej *Podróży do Persyi* mówi o Tebrysie jako o mieście wielkiem, bogatym, handlowem, liczącym 500,000 mieszkańców! Niestety, minęły już czasy tej świetności. Potężne trzęsienie ziemi w 1721 roku sprawiło straszliwe spustoszenia i powaliło w gruzy większą część miasta, pod któremi zostało, według współczesnych historyków, 100 tysięcy ludzi. Jednakże Tebrys pozostał po dziś dzień najpoważniejszym centrum handlowem Persyi i jednym z głównych punktów handlowych traktów Azji. Tu docierają karawany, idące z Trebizondy tąż co my drogą; tu dążą inne przez Dżulfę z Tyflisu; Chiny i Indye nadsyłają tu swe produkty.

W samem mieście wyrabiają surowe jedwabie i dywany; ludność zażywa ogólnie dobrobytu; istnieją wielkie fortuny kupieckie. Bazar rozsiadł się na ogromnej przestrzeni i rozgałęził w niezliczone ulice. Wre w nim ruch, zgiełk, wrzawa, przesuwały się barwne tłumy, mieszają wszystkie rasy Azji. A bazar—to serce miasta i wyraz jego życia.

Bazar ten zwiedziłam bardzo pobieżnie, gdyż niedomagałam ciągle podczas dwutygodniowego w mieście pobytu. Zato w bazarze Teheranu byłam w przeciągu dwóch lat razy kilkanaście, jemu więc poświęcę opis obszerniejszy.

Nadmiar zmęczenia, który przykuł mnie nawet

¹⁾ Chardin (1643 — 1713), podróżnik francuski, autor najobszerniejszego dzieła o Persyi, pełnego ciekawych szczegółów o życiu i obyczajach narodu.

na dni kilka do łóżka, vulgo materaca, gdyż rozkoszy wypoczęcia na odpowiednim do tego sprzęcie i tu jeszcze nie zaznałam, nadmiar znużenia więc nie pozwolił mi na wycieczki po mieście. Niewiele, co prawda, pozostało w niem rzeczy godnych zobaczenia. Nie ma tu już starych gmachów; rezydencje zaś nowoczesne dygnitarzy i magnatów, jako też pomieszczenia instytucyj rządowych nic zupełnie nie przedstawiają godnego uwagi. Dostęp do meczetów zamknięty dla niewiernych, gdyż, aczkolwiek Persowie umysł mają dość otwarty, nie odznaczają się jednak zewnętrzną religijną tolerancją Turków, którzy za pieniądze pokażą najbardziej czczone świętości, relikwie i przybytki. W Persyi nawet za pieniądze meczetu wewnątrz obejrzeć nie wolno.

Najciekawszą pamiątką dawnych dziejów jest tak zwany meczet niebieski, *mosquee bleue*, wzniesiony przez szacha Alego. Z wyniosłego gmachu pozostały dziś imponujące potężną masą ruiny. Nazwano go meczetem niebieskim, ponieważ z zewnątrz i wewnątrz całkowicie niemal był pokryty szafirową, błękitną i białą majoliką. Barwy te przeważają z dekoracyj wszystkich chyba meczetów Persyi i wszystkie „niebieskimi” nazwaćby było można. Iskrzą się turkusowemi, złocistemi w słońcu sklepieniami łuków, kopułami i wieżycami minaretów. Inne kolory: brązowy, żółty, zielony, fioletowy lub czarny dodatkowo tylko mieszają się do zasadniczego tła niebiesko-białego.

Stolica Aserbajdżanu rozłożyła się w nagiej, pozbawionej roślinności dolinie, którą przecinają



Robotnik gremplujący węglę

jednakże dwie niewielkie rzeczki. Choć za tło służą miastu góry, nie dodają mu ani powabu, ani malowniczości. Mieszkańcy Tebrysu zdają się bardziej dbać o suchość i czystość jego krętych i wązkich ulic, bo nie narażając się na unurzanie w błocie, można tu odbywać swobodnie piesze wędrówki. Niezwykły to istotnie fenomen na Wschodzie.

Miasto przerżnięte jest, jak Khoj, jak Teheran, jak wszystkie zresztą środowiska ludzkie, siecią podziemnych kanałów, doprowadzających wodę z górskich źródeł. Zewnętrzne otwory tych kanałów, zwane *kanotami*, przedstawiają najpierwotniejszą postać studni. Kanotów takich jest kilka na każdej ulicy.

Klimat północno-środkowej Persyi, przedstawiającej jedno wielkie płaskowzgórze, jest zimą bardzo ostry. Przyjeżdżamy do Tebrysu w ostatnich dniach listopada, w mróz siarczysty, który trwa przez cały czas naszego tam pobytu.

Pierwotnie mieliśmy zamiar zabawić w tem mieście dwa lub trzy dni najmniej. Lecz ku wielkiemu naszemu przygnębieniu dowiadujemy się, że niepodobna będzie znaleźć koni, ani pojazdu wczesniej, jak za dwa tygodnie. Muzaffer-Eddin bowiem, ówczesny Walliet, a szach terażniejszy, wybiera się z wizytą do ojca do Teheranu, w otoczeniu pięciotysięcznej świty. Ta dworska czereda zaopatruje się w ogromne zapasy żywności, wiezie z sobą namioty, pościel, dywany, sprzęty domowe i kuchenne, niezliczone skrzynie i paki z ubraniem. Walliet pośpiechu nie lubi, podróż długo potrwa. Dla kolosalnego ładunku książęcego orszaku trzeba

było' koni, osłów, mułów niezliczone mnóstwo. Więc urzędnicy Musaffer-Eddina zagarniali wszystkie zwierzęta, jakie znajdowały się w mieście. Czerwadarzy chronią się jak mogą w okolicznych wioszczynach i ukażą się dopiero w Tebrysie, gdy jego książęca mość opuści go wraz ze swą świtą. Biedacy boją się jak ognia szczęścia wynajmowania swych zwierząt Wallietowi i jego otoczeniu, gdyż bardzo nieszczęśliwie na tym zaszczycie wychodzą.

Sam Musaffer-Eddin nie pozbawiony jest biernej, apatycznej dobroci, a w stosunku do dość szczupłej swej szkatuły, sypie hojnie pieniędzmi na wszystkie strony. Lecz czerwadarzy nie mają do czynienia z nim bezpośrednio, nie dopuszczani są do pańskiego oblicza. Pośrednicząca zaś armia pijawek siebie przedewszystkiem pożywić pragnie i „zapomina” zwykle płacić nędznym paryasom, którzy znów nie śmią protestować, a gdyby nawet podnieśli głos skargi na dziejące się im krzywdy, na nicby to się nie przydało.

Rozumiem teraz, dlaczego Tatar wzbraniał się tak energicznie dowieźć nas do miasta.

Powiedziałam, że Muzaffer-Eddin nie rozporządza znacznymi funduszami. Obecnie spadły na niego dziedzicznie kolosalne skarby Nasr-Eddina, lecz za życia ojca był najbiedniejszym z trzech braci i niejednokrotnie, pogrążony po uszy w kłopotach pieniężnych, szukał ratunku w dobroczynnym lombardzie Tebrysu. Największą fortunę w rodzinie posiadał Zille-Sultan, gubernator prowincyi Ispahanu, rządzący ze swego miasta najbogatszemi ziemiami Persyi. Ambitny ten książę nie żywi bynajmniej

dla brata gorącej miłości. Gdyby nie smutna ta okoliczność, że się urodził jako syn niewolnicy, a nie księżniczki z rodu Kadżarów, on niewątpliwie byłby następcą tronu na zasadzie prawa starszeństwa. Więc nie może darować Muzaffer'owi szczęścia, iż pochodzi on z krwi szlachtetnej.

Najmłodszy z synów Nasr-Eddina, książę Naiib-Saltaneh, naczelny dowódca armii perskiej, nie płonie również dla dzisiejszego szacha nadmiarem uczuć braterskich. Po śmierci ojca snuły mu się po mózgu różne plany... W rodzinie swej przedstawia on element światowości i elegancyi. Jest ugrzeczniomy, miękki i niezdecydowany.

Muzaffer-Eddin nie odbywał za życia ojca dłuższych podróży. Rokrocznie wybierał się tylko na miesiąc lub dwa do Teheranu, otoczony swą średniowieczną świtą. Lecz zawsze pragnął poznać Europę, do której ojciec, choć sam namiętny podróżnik, nie pozwalał jechać żadnemu z synów. A ich naiwną ciekawość tak ciągnie Frengistan¹⁾, który przedstawiają sobie jako olbrzymi bazar błyszczących cacek, ordynarnie jaskrawych drobiazgów, jakie ojciec ich zwozi masami z każdej podróży i tryumfalnie za kryształami witryn ustawia. Każdego też „frengei“ wypytują bez końca o cuda jego ojczyzny.

Gdy Muzaffer-Eddin dowiaduje się, że „hakim-baszi-czesm²⁾“, przybywający z Paryża, prze-

¹⁾ Frengistan—Europa.

²⁾ Hakim-baszi-czesm— dosłownie: doktor główny oczu

bywa w Tebrysie, natychmiast naznacza mu audyencyę, choć jest już w przededniu wyjazdu do stolicy. Jest miły, uprzejmy, pełen zbytej może prostoty. Lecz trudno mu zrozumieć, jak lekarz może być specjalistą w jednej gałęzi wiedzy medycznej. Jego doktorzy posiadają wszechwiedzę!

To przeświadczenie o głębi ich uzdolnienia byłoby prawdziwem szczęściem, gdyby wiara uzdrawiać mogła. Niestety, nie zdaje mi się, by Muzaffer-Ed-dinowi zaufanie do swych lekarzy pomagało choć trochę. Wciąż jest chory. Dr. Adkock (Anglik) i Hakim-el-Mulk, Pers z pochodzenia, jego nadworni lekarze, większy widocznie wywierali w owej epoce wpływ na duszę księcia, niż na zdrowie jego ciała. Dodam w nawiasie, że dr. Adkock dotąd przy monarsze przebywa, a Hakim-el-Mulk, zmarły obecnie, cieszył się wielką przyjaźnią szacha i był na dworze Persyi wszechpotężnym.

.....

Walliet z całym swym orszakiem opuścił wreszcie Tebrys. Powoli, ostrożnie zaczynają powracać do miasta czerwadarzy, zjawiają się też muły, osły i konie.

Znów nas w furgon ładują. Za dni 15 dopiero staniemy w Teheranie, choć dzieli nas odeń zaledwie odległość 480 kilometrów. Lecz przy pośpiechu, z jakim na Wschodzie wszystko się odbywa, z jakim woziska tłuką się po wyboistych rozdołach, marzyć nawet nie można o robieniu choćby 40 kilometrów dziennie.

Sądziłam, że podróż dalsza odbędzie się w wygodniejszych niż poprzednio warunkach. Omyliłam się jednak okrutnie. O produkty życiowe łatwo wprawdzie: codzień jadamy kury i rozpływające się w ustach niezrównane melony; jajka sprzedają za bezcen. Lecz droga usiana rowami, dołami, zsypana kamieniami, a noclegi wiele pozostawiają do życzenia.

Dwukrotnie zatrzymujemy się na noc w napół rozwalonych olbrzymich karawanserajach, budowanych za czasów szacha Abbas'a¹⁾). Ściany gmachów układane są z drobnych cegieł, mury potężne. Lecz drzwi powybijane, okna nie istnieją, ognia rozpalic niepodobna.

Takie ruiny karawanserajów spotykamy często, codzień prawie. Kolosalne rozmiary i ilość tych gościnnych dworów karawan świadczą, jak szerokie pulsowało tu życie za czasów szacha, z którego imieniem związane są wspomnienia chwały i świetności Iranu. Handel zamienny Wschodu kwitł wtedy w całej pełni. Setki i tysiące wielbłądów, koni, mułów, ciągnęły temi szlakami i wypoczywały w tych serajach. Teraz wszędzie pustka, walące się w gruzy wiekowe mury, cisza śmierci i rozkład. Bezpłodna i jałowa pustynia ściele się tam, gdzie stały gaje i ogrody, zieleniły się żyzne pola. Wyszłe, zapuszczone kanały, czernieją otwartą paszczą kanotów. Najtrudniejszym do przebycia punktem tej

¹⁾ Abbas Wielki—znakomity administrator i wojownik (1557—1628).

części drogi jest góra Szabli, czy Szybli. Powóz Wallieta wciągano na nią na postronkach. My przebywamy ją na własnych nogach. Osiem koni mierzalnie ciągnie nasz furgon.

Trzy stacje zasługują na wyróżnienie na przeszczerzeniu od Tebrysu do Teheranu. Są niemi miasta Mianeh, Zendżan i Kasbin.

Mianeh, rozgłośne jest na całą Persyę nie z przyjemnej, niestety, strony. Smutną swą sławę zawdzięcza jadowitym pluskwom, których ukąszenia przyprowadzają podobno nawet o śmierć, a w każdym razie o chorobę i silne opuchnięcia. Ręczą nam wprawdzie miejscowi mieszkańcy, że niebezpieczeństwo ukąszenia grozi wyłącznie w lecie, że obecnie pluskiew nie ma wcale. Zachowujemy się sceptycznie wobec tych zapewnień i korzystając z wyjątkowo łagodnego powietrza — w połowie grudnia nocujemy w furgonie. Zdaje mi się, że nigdy przez dwa miesiące podróży nie spałam równie dobrze.

Zendżan, drugie większe miasto na tym szlaku, słynie ze swych filigranowych wyrobów srebrnych, które rozchodzą się ztąd na całą Persyę. Delikatne te drobiazgi przypominają filigrany weneckie, lecz nie dorównują im w wykonaniu. Mnie podobają się szczególnie mikroskopijne łyżeczki do herbaty, wyrzeźbione w ażur w środku. Pić niemi nie można, służą jedynie do mieszania. Kupujemy ich kilka tuzinów, różnej wielkości i rodzaju.

Ładne są również tacki, spodeczki, efektowne sitka do herbaty i podstawki do używanych na Wschodzie do kawy porcelanowych czareczek bez ucha. Dla mnie wszystko to zbyt jest misterne, a jedno-

cześnie nie dość starannie wykończone. Przekładam nad filigrany zendzańskie srebrne wyroby z Is-pahanu, na których biegną ciekawe wypukłorzeźby, pełne bogatej fantazyi postacie wojowników, dziwne chimery, zwierzęta, oryginalnie interpretowane kwiaty, ptaki, arabeski.

W chwili, gdy zwiedzamy bazar Zendżanu, jest on podobno zupełnie opustoszony: Walliet wykupił najpiękniejsze rzeczy. W Zendżanie doganiamy jego orszak i wyprzedzamy go nawet, bo księżę kilka dni tu wycoczywa.

Zapomniałam napisać o jednym jeszcze wyrobie lokalnym: „Kiefsz¹⁾ Zendżanu“ ogólnie są znane. Są to zgrabne, o wązkich, zadartych nosach pantofle, szyte z wązkich pasków skóry kolorowej. Z przodu różnobarwna bawełna zczepia te paski, tworząc deseń ażurowy.

W dwa dni po opuszczeniu Zendżanu dościga nas w polu rozszalała zamieć śnieżna, przed którą chronimy się do pierwszej spotkanej lepianki. Wnętrze jej stanowi jedna ciasna i brudna izdebka, na środku której stoi szeroki, a bardzo niski stół: siedząc na ziemi można oprzeć się na nim łokciami. Stół przykryty jest wielką watowaną kołdrą, zwieszającą się ze wszystkich stron do samej ziemi. Pod stołem umieszczona dużych rozmiarów fajerka z żarzącymi się drzewnymi węglami, a naokoło stołu siedzi cała rodzina: ojciec, matka, gromada dzieci,

¹⁾ Kiefsz—obuwie.

obdartych bladych, rachitycznych, o twarzach chorobliwie nabrzmiałych. Nie potrzebuję objaśniać, iż nogi trzymają wszyscy pod kołdrą przy nagrzanem „kursi“ — tak zwie się ten przyrząd. Przez cały dzień siedzą tak beczynnie i nieruchomo, wchłaniając trujące wyziewy. Lecz widać specjalnie są zahartowani przeciw ich zabójczemu działaniu.

Jakkolwiek skostnieliśmy od zimna, nie mamy odwagi korzystać z dobrodziejstw „kursi.“ Jednak po paru godzinach słabniemy w postanowieniu i, przewyciężając obrzydzenie, wsuwamy końce nóg pod zbiorowy łachman.

Kończy się jednak ta próba nader nie wesoło: mdlejemy oboje i nieprzytomnych wynoszą nas z chaty na powietrze, ażeby ocucić. Biedni gospodarze szczerze są zmartwieni, ale też i osłupieni na widok ludzi, tak marnych, że nie mogą znieść dobrodziejstw „kursi.“ A oni pędzą przy niem dni, tygodnie i miesiące zimy.

Następnego dnia mijamy wioskę i pałac Sultanie, jednej z niezliczonych rezydencyj „króla nad królami,“ największego z koczowników swego państwa. Mówię tu jeszcze o Nasr-Eddinie — który z jednego do drugiego pałacu wciąż przejeżdżał, gnany gorączkową potrzebą ruchu i zmiany miejsca. Lecz Sultanie zbyt jest od stolicy oddalone; Nasr-Eddin nigdy już, zdaje się, tam nie docierał, mając naokół Teheranu mnóstwo will i zamków.

.

Oto przed nami, rozrzucone na wielkiej przestrzeni ogrody, gaje pistacyowe, winnice. Zbliża-



Brázen uliczny w Teheranie

my się do Kasbinu, ostatniej stacyi przed Teheranem. Furgondzi cmoka językiem i zapewnia mnie, że znajdziemy w Kasbinie niezwykłej dobroci „engur¹⁾” i doskonałe wino. Rzeczywiście, jakkolwiek kraj cały obfituje w winogrona, jakkolwiek w Teheranie do 20 gatunków tego owocu się spożywa, pierwszeństwo nad innymi należy się stanowczo winogronom kasbińskim. I 24-go grudnia danem mi jest spożyć na wigilijny deser w „Memhan-Khane” (dom gości, czyli hotel) winogrona z okolic Kasbinu, za jakie o tej porze roku w Paryżu płacić trzeba na wagę złota, a które tu nic prawie nie kosztują.

Kasbin zbudowany był w trzecim wieku naszej ery. Harun-al-Raszyd upiększył wspaniale to miasto. Lecz podczas późniejszych wojen domowych zostało ono na poły zburzone. Gdy z ruin się odrodziło, zniosły je znowu w połowie jedenastego i dwunastego wieku dwa straszne trzęsienia ziemi. Ale nanowo wzrosło w potęgę: w XVI-ym wieku szach Tamasp I uczynił zeń stolicę Persyi. Ztąd Abbas Wielki przeniósł ją do Ispahanu.

Chardin opisuje Kasbin, jako miasto o tysiącznej ludności, którego „Madresseh” (szkoły) słyną szeroko w Iranie. Podróżnik z początku XIX-go wieku, Jacques Morier, twierdzi, że Kasbin większym jest od Teheranu. Lecz skończyły się dlań dni powodzeń i sławy: obecnie liczy zaledwie 30,000 mieszkańców. Persya współczesna biedniejszą jest, niestety, w ludność, w pieniądze, w ziemie uprawne

¹⁾ Engur—winogrona

i w miasta handlowe, niż Persya z czasów Char-
dina.

Domy, jak we wszystkich miastach i wioskach, kryją się za nieskończonemi szeregami murów. Lecz główna ulica bardzo jest szeroka i ładnie drzewami zacieniona. Przypomina zakątek Europy ze swemi telegraficznemi słupami, jaskrawo na szafir wymalowanemi i szpecącemi obrzydliwie pejzaż.

Kasbin nie wiele już liczy pamiątek minionych epok swej wielkości. Główną jego ozdobą są dwa meczety, nie najlepiej przechowane. Jeden z nich, Meczet-Dżami, wzniesiony został przez Harun-al-Raszyda; drugi Meczet-i-Schach, zbudowany był w XVI-ym wieku przez Tamaspa. Całe są w mozaikach turkusowych i białych, tworzących artystyczne sploty linii i kwiatów.

Pietro della Valle, podróżnik wenecki, który zwiedzał Persyę podczas panowania Abbasa Wielkiego, w okresie wsapniałości Kasbinu, mówi ze szczególnym zachwytem o pałacu, zbudowanym przez Tamaspa, stanowiącym rezydencję monarchy. Obecnie z pysznego gmachu pozostało niewiele, a cudzoziemców do zwiedzania tego, co pozostało, nie dopuszczają. Tylko monumentalna brama wchodowa o ciekawych rzeźbach z kamienia, pozwala przypuszczać, że opis Wenecyanina nie był zgoła przesadny.

Chardin, jako też i inni podróżnicy, dawni i współcześni, opowiadają o ruinach zamku feudalnego, położonego o kilka mil od Kasbinu, u stóp góry Syalar.

Obrali byli w nim siedzibę rozbójnicy, nale-

żący do sekty Nabetańczyków (koczujące plemię arabskie) i sieli ztąd daleko postrach przez lat 200. Marco-Polo, Wenecyanin, w nadzwyczaj ciekawej swej relacji z podróży po Persyi, odbytej w końcu XIII-go wieku, opisuje żywo i malowniczo te orle gniazdo i gnieźdzące się w niem starego władcę gór, króla rozbójniczej braci: „*le Vielz de la Montagne qui avait à nom Alasdin.*” Smutny koniec spotkał wojowniczych łupieżców. Po trzymiesięcznem oblężeniu zamku dostali się w tatarską niewolę „*et fut occis le Vielz qui avoit a nom Alasdin, con tute sez homes*” ¹⁾).

Dziś romantyczne dzieje tego wschodniego barona-rabusia nie pozostawiły we wspomnieniu nawet legendy, ruiny zamku zaś są smutnem, bezkształtnem zwałiskiem gruzów.

.

Cywilizacya znalazła w Kasbinie swój wyraz w postaci hotelu, urządzonego do pewnego stopnia na sposób zachodni. Gościnne pokoje nie odznaczają się, co prawda, luksusem, ani nawet wygodami, lecz kuchnia zato jest smaczna i przyzwoita i potrawy przyrządzone po europejsku.

Z innych jeszcze względów przedstawia Kasbin „wrota do rajy,” jak go przesadnie nazywają Persowie. Prowadzi odeń do Teheranu, na przestrzeni 150 kilometrów, szeroka, równa pocztowa droga, przeprowadzona przez Nasr-Eddina.

Droga kosztowała podobno półtora miliona

¹⁾ Et fut occis le vieux qui avait à nom Aladin avec tous ses hommes.

franków, z której to sumy więcej niż połowa zniknęła w kieszeni przedsiębiorcy. Sądzę, że wybaczą mi to ludzie najsurowszej cnoty, którzy dotarli tu po długiej podróży, pogruchotani torturą furgonu, kedżawe lub „tachtarawanu” ¹⁾). W Kasbinie dzięki „królewskiemu gościńcowi,” tak zowią ten trakt pocztowy, można wsiąść do prawdziwego powozu i w niecałą dobę (18 — 20 g.) przebyć 150 kilometrów, dzielących go od Teheranu. „Czapar-khankh” ²⁾ — stacye pocztowe rządowe — liczne są na tej przestrzeni; o konie na nich łatwo. Zaledwie, zatrzymawszy się, zdążymy wypić parę szklanek herbaty, a już ruszamy dalej.

Nasz powóz to jakaś odwieczna staroświecka kareta, wybita czerwonym aksamitem. Zdaje mi się, że jestem w królewskim pojeździe i tonę w błogości niezmiernej, tak zmieniają się wymagania ze zmianą szerokości geograficznej. Mrok już zapadł oddawna, gdy wyruszamy w drogę, gęsty śnieg świat przesłania, niewyraźnie majaczą w dali ciemne zarysy łańcucha Elbursu, u stóp którego rozkłada się Kasbin i wzdłuż którego jechać będziemy do samego Teheranu.

Kiedy brzask świtać zaczyna, widzę wioski i osady, tulące się u podnóża gór w wiankach topoli i jujubów. Pełno sadów owocowych, winnic, pól uprawnych; wiosną i latem musi być to uroczy

¹⁾ Tachtarawan — lektyka, niesiona przez konie lub muły.

²⁾ Czapar — poczta, khaneh — dom.

zakątek ziemi. Czuć w nim czynne życie, widać pracę człowieka. Słońce przebija szare mgły rannych tumanów i wypływa na niebo we wspaniałym majestacie, opromieniając weselem cały krajobraz zimowy. Fantastycznie poszarpane cyple gór twarde i ostro wcinają się w ciemny szafir nieba. Przed nami, daleko, na skraju horyzontu widnieje Demawend w wiecznych śniegów koronie.

Demawend, leżący o kilkanaście kilometrów w głębi za Teheranem, wznosi się na 7,000 metrów nad poziomem morza i o dwa przeszło tysiące przewyższa szczyty otaczającego go gór pasma. Persowie, w których wyobraźni ojczyzna ich, w tem co dała jej natura i co dokonali ludzie, jest najpierwszym z pomiędzy krajów ziemi, uważają Demawend za „wszystkich gór matkę, górę świętą.” Arka Noego zatrzymała się, według ich podań, na tym szczycie, który jest „źródłem światła, kolebką ludzkości.” Legendy kosmogoniczne azyatyckich narodów ogromnie kazały błąkać się tej arce, bo oto stanęła podobno również, jak twierdzą miejscowe podania, na górze Salazan, na północo-wschodzie od Tebrysu. Salazan (4,800 m.) jest zarówno jak Demawend i Ararat, wygasłym wulkanem.

Wioski coraz częstsze, ruch coraz większy, czuć bliskość wielkiego miasta. Dodać też należy, że trakt kasbiński jest wspólną drogą karawan, idących z Małej Azji i od Morza Kaspijskiego. Nieskończonym sznurem wyciągnięte kroczą wielbłądy z kryształowym śpiewem dzwonek, roznoszącym się dalekiem echem w przeczystym powietrzu. Osiołki, obładowane workami złotych pomarańcz,

olbrzymich, podłużnych melonów i czerwonych granatów niosą do stolicy codzienną daninę owoców. Muły, objuczone górami chrustu, wyglądają jak wielkie ruchome krzaki. Wciąż mijają nas w błyskawicznym pędzie jeźdźcy na przepysznych rumakach.

W podróży przez góry mogłam była ocenić nadzwyczajną zręczność i wytrzymałość zwierząt, lecz nie spotykałam właściwie tych pięknych koni, o których szeroko rozpowiadali mi w Paryżu znajomi Persowie. W Tebrysie zobaczyłam po raz pierwszy prześliczne białe, pół-arabskie wierzchowce, jakich nie powstydzilyby się w Europie stajnie królewskie, a które tu posiadają najzwyczajniejsi śmiertelnicy. Niema prawie Persa tak biednego, któryby nie miał choć jednego konia, a niema znów prawie koni nierasowych. Persowie celują w konnej jeździe i ćwiczą się w niej od dziecka. Siedmioletnie chłopięta pędzą galopem na oklep, nie trzymając nawet uzdy. Wogóle nadużywają tu galopu, nie znają kłusa, lecz dobrze wyglądają na koniu w szalonym swym biegu. Zato kobiety nie śpieszą się w drodze, gdy podróżują na ośle lub konno. Zwierzę stąpa krok za krokiem, przy niem wlecze się opieszale sługa lub przewodnik, towarzyszący zawsze najuboższej choćby hanum.

Na drodze kasbińskiej spotykamy, jak mówiłam, jeźdźców mnóstwo. Rynsztunek niektórych koni wspaniały. Czapraki z jedwabnych cennych

dywanów, lub też szyte złotem na ispahańskim aksamicie. Uździenice i lejce pokryte są złotą i srebrną łuską. Widzę sokolników, trzymających na łańcuszku zakapturzonych drapieżników. Mijają też wspaniałe kawalkady: to magnaci, paradujący w otoczeniu sług i dworzan. W Persyi żaden dygnitarz i żaden pan wielki kroku sam nie zrobi; jak grand hiszpański dawniej, Pers do dzisiejszego dnia skrzępowany jest wielkością rodu, imienia, dostojęstwa: nie wolno mu ruszać się, jak prostym śmiertelnikom. Gdy czasem nawet odbywa pieszy spacer, idą przed nim i za nim słudzy. Gdy jedzie powozem lub konno, przodem pędzą przybocznicy „ferrasse”¹⁾, rozganiając tłum i torując drogę, z tyłu, za pojazdem posuwa się cały orszak postaci w kostymach bogatych i jaskrawych. Dzikie to i barbarzyńskie z pewnością, ale niezaprzeczenie bardzo malownicze. Coraz więcej sadów i winnic. Okolicę użyznia rzeka Kerech, której źródła wypływają z gór Elbursu. Dojeżdżamy do ostatniej stacji przed Teheranem.

To Szach-Abbad z pałacem Soleimanieh, zbudowanym przez słynnego Fet-ali-szacha, drugiego króla z dynastyi Kadżarów. Jedna to jeszcze z letnich rezydencyj Nasr-Eddina, niezmordowanego podróżnika, niedarmo panującego nad licznymi plemionami Nomadów. Monarcha nie często tu prze-

¹⁾ Sługa konny, torujący drogę przed panem.

bywa; wspaniały pałac jest zaniedbany, a otaczający go naokół rozległy i cienisty park wygląda na raj opuszczony.

Wciąż mamy przed sobą Demawend, którego śniegi olśniewająco iskrzą się w słońcu.

Do Teheranu dojeżdżamy, nie spodziewając się go prawie. Nie poprzedzają go bowiem, jak Khoj i Kasbin, długie szeregi ogrodów i szarych murów. Nagle widzę z poza skrzyżtwa drogi kilka kopuł, kilka minaretów, szare błotniste masy domów i ogrodzeń, nagie szczyty topoli i rozłożyste gałęzie platanów. Oto już „Der-waseh Kasbini” ¹⁾ jedna z dwunastu bram miasta, zdobna w niebiesko-białe majoliki i strzelająca w niebo smukłemi turkusowemi wieżycami.

Bramy strzegą wojownicy o minach sennych, przybrani w czerwone mundury. Na głowie mają niskie czapki barankowe, ozdobione z przodu złocistą blachą, na której, nad lwem Iranu, wschodzi pucołowate słońce.

Jesteśmy w mieście. Jedziemy wzdłuż brudnych, o niezachęcającym wyglądzie ulic, między murami z błota, tudzież rzędami topoli i platanów. Przez nową, niższą, mozaiką zdobną bramę wjeżdżamy na obszerny plac kwadratowy, na którym panuje ruch ożywiony: krążą tu pojazdy i toczy się tłum przechodniów. Dalej przez takąż, jak poprzednia

¹⁾ Der—drzwi, waseh—otwarte.

bramę w barwne mozaiki, wydostajemy się z placu na szeroką ulicę zda się w prostej linii ku górom biegnącą; przed nami znów śnieżne szczyty, które świeciły nam od samego Kasbinu. Lecz tuż za bramą przystajemy przy jednym z pierwszych domów. Jest to piętrowy, przyzwoicie przedstawiający się budynek hotelu, trzymanego przez małżeńską parę Szwajcarów. Tu zatrzymamy się przez dni kilka, zanim urządzimy się u siebie.

Bo wędrówka skończona—dotarliśmy do portu.

VII.

TEHERAN.

Zewnętrzna fizyonomia miasta.—Plac broni, główne ulice.—Dzielnica europejska —Dobrodziejstwa cywilizacji. — Typy uliczne.—Derwisze.—Spacer szacha.—Kareta Fet-ali-szacha.—Charakter zewnętrzny dzielnicy perskiej. — Bazar.—Dellale.

Teheran od lat stu zaledwie, bo od 1795 roku, jest oficjalną stolicą Persyi. Wprawdzie już podczas najścia Afganów szach Hussein, ostatni z dynastyi Sofich, utwierdził w nim swą rezydencję, lecz dopiero pierwszy monarcha z panującej obecnie rodziny Kadżarów, Aga-Mohammed-Khan, ogłosił go ostatecznie za stolicę. Na miejscu nędznych glinianych lepianek dawnej wioski, a późniejszej mieściny, chroniącej się w topolach i platanach, stały okazańsze domostwa, pojawiły się gmachy, meczety, pałace, potężnie rozrósł się też i bazar.

Pietro della Valle, który zwiedzał był Persyę i Teheran w XVII-ym wieku, podczas panowania Abbasa Wielkiego, nic godnego w mieście nie za-

znacza, prócz wielkiej ilości platanów; nazwał je też „miastem platanów.”

Stolica Persyi rozpostarła się na wielkiej przestrzeni, jak wogóle zresztą wszystkie tutejsze miasta. Każda rodzina, nawet najbiedniejsza, posiada własny dom, najnędniesze choćby oddzielne pomieszczenie. Przy domostwie znajduje się ogród, czy ogródek, wskutek czego każda grupa rodzinna rozsiada się na szerokiem obszarze.

To, co mówiłam o Khoj, w zupełności zastosowuje się do zewnętrznej fizjonomii każdego perskiego miasta. Wzdłuż ulic biegną z dwóch stron mury z gliny i błota, z po nad nich wyglądają wierzchołki drzew ogrodu. Furtki, lub niskie bramy o ciężkich żelaznych zawiasach i ryglach, prowadzą do mieszkalnego budynku, otaczającego czworobokiem ogród. Domy zazwyczaj parterowe, zrzadka posiadają jedno piętro — „balakhaneh').” Dachy mają płaskie, lepione ze słomy i gliny i oparte na wątlę, drewnianem belkowaniu. Dachy te zapadają się z niesłychaną łatwością, gdy nadchodzi pora deszczów wiosennych, krótkotrwałych wprawdzie, lecz ulewnych. Niema prawie domu, w którymby jeden choć pokój nie ucierpiał, jakkolwiek mieszkańcy energicznie i wytrwale wodę z dachów zmiatają; rynny oczywiście nie istnieją. Na dachach gwaro

1) Dosłownie: wysoki dom.

i wesoło latem. Siedzą tam przez dzień cały, jeżdżą, prasują, modlą się i bawią.

Środek ogródka zajmuje nieodzowny basen w wianku róż, tamaryksów, bzów i granatów. Woda, niezbyt często odnawiana, zamienia się w upalne dni lata w kałużę zielonkawatego błota. Podróżnicy, unoszący się w zachwytach nad temi basenami, zwiedzali widać wyłącznie ogrody szacha i dostojników, gdzie woda zbiorników jest rzeczywiście jak kryształ przejrzysta i świeża, gdyż sprowadzają ją z niemałym kosztem z górskich strumieni. Lecz zawartość w basenie przeciętnego śmiertelnika zmieniana bywa raz, lub co najwyżej dwa razy na miesiąc, a w Europejczyku wprost budzi odrazę. Persowie jednak nie dzielą naszych na tym punkcie uprzedzeń. Myją się w tym cuchnącym płynie, pocierając nim twarz i ręce; są przytem najmocniej przeświadczeni, że czynią zadość wszystkim wymogom higieny i czystości, tembardziej, że odczuwają potrzebę nurzania rąk w lepkiej mazi basenu po kilkanaście razy dziennie. Widziałam niejednokrotnie Persów z najlepszej sfery, wysokich dygnitarzy, przybywających do mego męża na konsultację lub z wizytą, jak—przed wejściem do poczekalni—pochylali się nad basenem, ażeby obmyć ręce w jego podejrzaney przezroczyści wodzie.

Wogóle też lubią przesiadywać przy basenach godzinami całemi; rzekłbyś, że woda ich hypnotyzuje. Może dlatego, że kraj w nią nie obfituje, że z gór mozolnie ją do kanałów sprowadzać trzeba,

że rzeki świecą częściej wyschłem kamiennem łożyskiem, niż srebrną wód falą. Faktem jest w każdym razie, że spędzają długie dnia godziny wpatrzeni w głąb mętną, zieloną, zadumani głęboko, ująwszy głowę w dłonie, lub ciągnąc machinalnie kaljan. Co widzą w tafli wodnej? o czym myślą? czy myślą?

W domach ludzi mniej zamożnych enderum i birun, jakkolwiek wyraźnie rozgraniczone, w jednym mieszczą się budynku. W sferach bogatych i arystokratycznych kobiety posiadają oddzielne domostwo, umieszczone za birunem, w głębi ogrodu.

.

Teheran otoczony jest wałem obronnym i murem. Wał jest podobno nieszczególny, mur, zlepiony z ziemi kruszy się i szczyrbi wyłomami. Słabą nader byłby ochroną przeciw nieprzyjacielowi. Dwanaście bram „Derwaseh,” w tym murze otwartych, prowadzi do dwunastu różnych części miasta. Wszystkie zdobne są jednakowo w smukłe wieżyczki, ze wszystkich świecą niebieskie, białe, szafirowe majoliki, mozaiki kwiatów, liści, arabesek, ptaków, zwierząt i wojowniczych postaci.

Nad najbliższą naszego domu bramą Szimrańską króluje w mozaice Fet-ali-Szach, roztaczając olbrzymi wachlarz swej czarnej brody.

Srodkowy punkt miasta stanowi wielki, czworokątny plac, Majdani Top Khaneh, plac broni (dosłownie plac domu armat), otoczony ze wszystkich

stron jednostajnymi zabudowaniami arsenału i otwierający łuki sześciu bram, przybranych w majolikę, jak bramy miejskie, na sześć głównych ulic. Budynki, okalające plac, wymalowane są na jaskrawe barwy; od tła czerwono-zielonego odbijają żywo dobrodusze lwy i naiwne słońca Iranu.

Na środku placu kilkanaście drzew tworzy niewielki skwer czworokątny, w którego rogach ustawiono cztery armaty. Abbas Wielki zabrał je był na Portugalczykach. Wystrzał, rozlegający się z jednej z tych armat zwiastuje miastu południe, drugi wystrzał obwieszcza zachód słońca. Przez miesiąc Ramadanu, miesiąc postu i umartwienia, wystrzały rozbrzmiewają trzy razy dziennie. Pierwszy zrana, o wschodzie słońca, nakazuje wiernym, by jeść przestali, drugi oznajmia godzinę południa, trzeci o zachodzie słońca, zwiastuje chwilę, w której wolno zabrać się na całą noc do wchłaniania pokarmów. Ludzie, przepisy religii ściśle obserwujący, mogą bowiem przez Ramadan jeść jedynie pomiędzy zachodem i wschodem słońca. Lecz o tem później.

Z trzech stron placu ulice prowadzą do dzielnic czysto perskich: do bazaru, do głównego meczetu, do pałacu miejskiego szacha, na plac mustry do Merizkhaneh¹⁾, szpitala, wzniesionego staraniem Nasr-Eddina.

¹⁾ Dom chorych.

Z czwartej, ostatniej strony, dwie bramy wychodzą na dwie równoległe ulice, biegnące ku Derwaseh Szimrani, za którą rozpoczyna się właściwa wieś Teheranu. Ztąd ciągną drogi do podmiejskich pałaców szacha, do gór i wiosek w nich ukrytych, dokąd Europejczycy podążają w skwarne miesiące lata.

W dwóch tych dość długich ulicach, tudzież w kilku przylegających do nich, skupia się całe życie europejskiej kolonii.

Tu—z wyjątkiem rosyjskiej—mieszczą się legacje wszystkich mocarstw, tu wznosi się kościółek katolicki, tu zakład sióstr świętego Wincentego a Paulo, które, pod protektoratem francuskim, założyły szkołę dla dzieci armeńskich i szpital dla wszystkich potrzebujących pomocy, bez różnicy ras, narodowości i wyznań.

Tu mieszkają Europejczycy, pozostający w służbie rządowej, a więc instruktorzy wojska, profesorowie *College Imperial*, wyższej szkoły o zakresie mniej więcej uniwersyteckim, doktorzy, dyrektorzy banków, urzędnicy telegrafu angielskiego, wreszcie kilku przedsiębiorców.

Tu wreszcie znajduje się klub, bez którego Europejczyk nigdzie obejść się nie może, a na który Pers patrzy z mieszaniną strachu, pogardy i zaciekawienia.

Klub posiada bilard i rozklekotane pianino, otrzymuje kilka pism różnojęzycznych, przeważnie jednak francuskich, prowadzi kuchnię i stołuje mło-

de filary dyplomacyi, urząda zebrania rodzinne, wreszcie pozwala miłośnikom damy pikowej na straszliwe zgrywanie się w écarté, pokera i wista. Bakarat został zabroniony na skutek przegrania przez pewnego attaché ambasady tureckiej dwustu tysięcy franków w ciągu jednego wieczoru.

Legacyj i domów europejczyków, pełniących służbę rządową, strzegą wojacy tak obdarci i brudni, że nie opisze ich najwięcej realistyczne pióro.

Od czasu do czasu nadziewają niezdarne, czerwone mundury i idą na mustrę; za powrotem do domu nakładają znów pospiesznie swe postrzępione łachmany, w których widocznie lepiej czują.

Rząd udziela tym obrońcom kraju pensye minimalne i nakłada na nich obowiązek żywienia się własnym kosztem.

Od osób, których całość i bezpieczeństwo powierzone są ich pieczy, pobierają płacę 7—10 kranów¹⁾ miesięcznie! I pomimo tak niesłychanie szczupłych środków istnienia, zbierają grosze.

Nie próbuję nawet zrozumieć, w jaki sposób kombinują swój budżet, stwierdzam tylko, iż wszyscy bez wyjątku zajmują się drobną lichwą.

Ulice w dzielnicy europejskiej przedstawiają się względnie czysto. Mówię względnie, gdyż, mojem zdaniem, Teheran, mimo swej nazwy — („teheran” — znaczy czysty) — jest miastem rzetelnie bru-

¹⁾ Kran wart jest obecnie pół franka.

dnem, a w wiosenne dni deszczów, trwających do dwóch tygodni, zamienia się w jedną rozlewną kałużę, po której niepodobna chodzić pieszo.

Na szczęście dla ludzi, nie posiadających własnego powozu, istnieją tu dorożki, oplakane wprawdzie gruchoty, drogie przytem niemiłosiernie, ale umożliwiające przynajmniej jako tako komunikację. Dorożki należą do prywatnego przedsiębiorcy, Belga.

Belgowie nie ograniczyli się na obdarzeniu miasta tem dobrodziejstwem. Im również zawdzięcza Teheran kolej: maleńką, na kilkunastu kilometrach wyciągniętą linię, prowadzącą do słynnego meczetu „Szah-Abdulasim,” celu wędrowki pobożnych tłumów. Podburzana przez fanatycznych mułłów gawiedź porozbijała pierwsze wagony i lokomotywę, zabito maszynistę. Z czasem niechęć ostygła; kolej mogłaby funkcjonować z prawdziwym powodzeniem, ale jedyne cztery lokomotywy, sprowadzone z Europy, zepsute są najcałkowiciej. Udało mi się jednak odbyć wycieczkę do Szah-Abdulasim za życia ostatniej z lokomotyw.

Otwarte, letnie wagony przepełnione były seidami ¹⁾ i mułłami.

Do towarzystwa belgijskiego należą też tramwaje, przerzynające kilka ulic; biedniejsi Persowie

¹⁾ Seid — potomek proroka, mułła — zwyczajny duchowny.

korzystają z nich bardzo chętnie, europejczycy natomiast zupełnie ich nie używają.

Belgowie wreszcie założyli fabrykę szkła i fabrykę cukru, naokół której urządzają plantacje buraków.

Nie wiem, czy buraki nie wschodzą, czy brak rąk roboczych, pewną jednak jestem, że niczyje oczy nie oglądały jeszcze cukru fabryki belgijskiej. Może zresztą obecnie lepiej jej się dzieje.

Fabryka gazu założona znów została przez prywatnego przedsiębiorcę Francuza, który zainstalował również gazowe oświetlenie. Szafirowe i czerwone słupy latarni szpecą ogrody szacha i wielkiego wezyra, tudzież zrzadka rozrzucone są wzdłuż ulic. Gaz cierpi na ogólną anemię: gaśnie, nim go zapala. Wogóle dzieją się z nim dziwne tragedye i istnienie jego jest raczej symboliczne niż realne. Wieczorami zalegają ulice fantastyczne mroki, wychodząc więc na miasto, należy brać z sobą „karaula”¹⁾, niosącego „fanus,” t. j. wielki, papierowy w mosiądz oprawny lampion.

Oto wszystkie nabytki cywilizacyjne stolicy króla królów.

Cała sieć linii kolejowych pokryje podobno wkrótce Iran od morza Kaspijskiego do zatoki perskiej.

Cywilizacya wleje się potężną falą, przyniesie

¹⁾ Żołnierz strzegący domu.

wszystkie swe zdobycze i wynalazki, wszystkie swe cuda...

Lecz kiedy dymy lokomotyw plamić zaczną szafir nieba i czepiać się czarnymi kłębami po gór skłonach, kiedy zgrzyt kół fabrycznych zagłuszać będzie monotonne, żalosne nawoływania derwiszów i klócić ciszę wieczorną, gdy trotuary zalegną brzegi ulic, a sklepy zajaśnieją blaskiem światel elektrycznych, Persya przestanie być jednym z ostatnich zakątków ziemi, gdzie artysta, szukający natury, jeszcze niezgwałconej przez człowieka, rozkochany w harmonii barw, światła i tonów napawać może wzrok obrazami, których wspomnienia na zawsze mu pozostaną w myśli i wyobraźni.

W teraźniejszym Teheranie pewne części dzielnic perskiej, pewne widoki, obchody, uroczystości są jakby obrazami zamierzchłych dziejów; patrząc na nie, zapomina się o chwili obecnej. Wieki się cofnęły, czas stanął w biegu. W krajobrazach, w gestach, w kostymach ludzi odżywają minione chwile historii świata.

Gdy wyjeżdżam na spacer za miasto i patrzę na pracujące w polu kobiety w lekkich, jaskrawych czadurach, zdaje mi się, że widzę Rut i Noemi, zbierające kłosy. Gdy czerpią ze strumienia wodę w wielkie gliniane amfory i zręcznym ruchem stawiają na ramieniu, przypominają Rebeke przy studni.

Derwisze w białych sukniach, o długich spłotach czarnych i ciemno-rudych włosów, o twarzach

pięknych i ściągłych, promieniejących nieraz ascetyczną ekstazą, derwisze—anachoreci, wyzuci z potrzeb doczesnych—przywołują na myśl proroków Testamentu.

Pospieszam dodać, że mówię o czysto zewnętrznej stronie rzeczy. Wiem, iż ci ludzie wyzuci są z potrzeb, lecz nie wiem, czy liczą w swem gronie wielu natchnionych proroków. Wiem zato, że z zamiłowaniem i powodzeniem oddają się żebraniemu. Mam swoich derwiszów, którzy poprostu przejdą mi przez ulicę nie dają i gdziekolwiek mnie ujrzą wyciągają rękę o datek, jak o rzecz należną im z prawa. Żebrzą z wytwornym wdziękiem i przyjmują jałmużnę z godnością i powagą; miedzianych monet, zwłaszcza od „frenge” nie uznają: trzeba im srebra.

Na ulicach coraz to nowe, niespodziewane widowisko wzrok przykuwa. Oto dąży do pałacu monarszego pyszny orszak magnata. Z pod stóp koni ogień pryska; z krzykiem „hawarda, hawarda”¹⁾ pędzą „ferrasze,” pałkami tłum rozganiając; w tumanach pyłu toczy się za nimi powóz lub karetka, przez cztery, czasem sześć arabskich koni niesiona, w niej nieruchoma hieratyczna postać. Za pojazdem sunie ciżba konnych pochołków.

A orszak szacha! Gdy „król królów, biegun świata, źródło wiedzy” wyrusza na spacer, lub wra-

¹⁾ Hawarda—z drogi.

ca do Teheranu z podmiejskich zamków, biegną przodem „ferrasze” z pałkami, za nimi jeźdźcy o laskach z wielką srebrną gałką, dalej piesze laufry w olbrzymich czapkach, krótkich czerwonych ubraniach, białych pończoszkach i trzewikach o wysokich obcasach—wreszcie powóz królewski.

Szach jest w nim zawsze sam tylko; żaden z jego poddanych, żaden nawet z książąt krwi nie może dostąpić zaszczytu towarzyszenia monarsze.

Za karetą cała kawalkata przybocznej świty: jenerałowie, oficerowie, dygnitarze, Persowie, Turkomani, Afganowie w swych malowniczych kostyumach, w zawojach jedwabnych o żywych barwach z frendzlą zawadyacką na bok się zwieszającą — smukli, szczupli, nerwowi.

Dalej jadą „gulami”¹⁾, wiozący w dywanowych kurdżynach²⁾ kaljany i rozliczne sprzęty, bez których Szah-in-Szah na krok się nie rusza, broń monarchy i dygnitarzy, przybory kuchenne.

Setki ludzi, setki kostyumów, setki typów; przed wiekiem, przed laty trzystu i przed laty pięciuset tak samo wjeżdżali do swej stolicy, w tem samem otoczeniu, w tej okazałości pełnych fantazyi kostyumów, z tymże ceremoniałem Tamasp I-szy, Abbas Wielki, Fet-ali-Szach. Nie niosły ich tylko europejskie karety.

1) Gulam—służący.

2) Kurdżyna—worek.

Pietro della Valle opowiada bowiem, że podczas jego bytności w Ispahanie Anglia, od dawien dawna kokietująca Persyę, ofiarowała Abbasowi Wielkiemu wspaniałą karete; monarcha wschodni pogardził wszakże tym prezentem, bo nawet na próbę wsiąść do pojazdu nie chciał. Zamknięto powóz i zapomniano o nim na zawsze.

Poselstwo angielskie, przybyłe do Teheranu w początku XIX-go wieku, w r. 1812, przywiozło również w darze karete panującemu wówczas Fet-ali-Szachowi. Nie mogę oprzeć się chęci opowiedzenia, w jaki sposób wręczono królowi ten upominek ¹⁾.

Otóż poselstwo wiozło z sobą mnóstwo bogatych prezentów dla króla: kilkadziesiąt zwierciadeł weneckich, fortepian, różne meble, wreszcie parę karet. Persya nie posiadała widać jeszcze w tej epoce nawet swych przedhistorycznych furgonów. Rzeczy, przybyłe z Europy przez zatokę Perską, ztamtąd przez Bussyr i Sziraz przyciągnięte zostały do Teheranu przez ludzi, ponieważ z powodu potężnych rozmiarów pak niepodobna ich było ładować na wielbłądy. Miły temat do rozmyślań: ten paryas-człowiek, ponoszący trud fizyczny, którego bydłę przenieść nie jest zdolne...

¹⁾ Opis, czerpany z podróży Jacques'a Morres, sekretarza poselstwa.

Dary Wielkobrytanii dotarły do Teheranu w stanie opłakanym: lustra były potłuczone, meble połamane. Jednakże udało się wyreparować jedną z karet. Gdy ją przed pałac królewski przyciągnięto, Fet-Ali-Szach obszedł ją naokół po kilkakroć i podziwiał wspaniałość wyrobu. Wreszcie, zdjąwszy obuwie, wszedł do karety i usiadł na aksamitnych poduszkach. Wtedy kilku najwyższych dostojników kraju poczęło ciągnąć pojazd. Rozrywka trwała godzinę, król królów bawił się znakomicie i wyraził ambasadorowi swe zadowolenie, obdarzając go cennym podarkiem. Poczem zamknięto karete do składów i światła dziennego więcej nie ujrzała.

Wracam do obrazów ulicznych Teheranu. Szukać ich należy przedewszystkiem w dzielnicy perskiej, w jednej z ulic, przylegających do bazaru. Nikłe cienie kobiet, owiniętych w ciemne czadury, w fioletowych lub zielonych szarawarach, suną tajemniczo wzdłuż murów. Inne jadą na osłach, prowadzonych za uzdę przez służących. Tam kroczy muł, objuczony kołyskami „kedzawe,” tu ciągnie do bazaru karawana wielbłądów, prowadzona przez posępnych i dzikich czerwadarów, tłum ludzki płynie zwartą falą; Persowie w długich swych sukniach, spadających w prostych fałdach na atlasowe żupany, w wysokich barankowych „kholach,” Tatarzy w tułupach i płaskich szerokich czapach, kurdowie o pięknych energicznych twarzach, w zawojach czerwono-niebieskich, Indusi i Afgani, Arabowie i Turcy, Armeńcy i Czerkiesi, mułlowie i seidzi, robotni-

cy z bazaru i handlarze uliczni w krótkich fałdowanych tułupach i wołokowych myckach, wędrowni derwisze, skórą okryci, półnaczy, z pałką jak maczuga w ręku. Niewyczerpana to skarbnica studyów dla artysty, niezliczone bogactwo typów, obrazów, barw, kostyumów, a na wszystko płyną z nieba potoki światła i słońca.

— A bazar? Kto go nie widział, nie wie czym jest miasto wschodnie. Bazar to jego serce, nieprzerwanem życiem tętniące, wchłaniające całą jego energię, przetwarzające ją i oddające znowu. Miasto to w mieście, mające swe ulice, swe meczety, jest ich cztery w bazarze teherańskim, swe karawanseraje i swe dzielnice: każdy przemysł i każda narodowość w innej części się mieszcza, bazar perski oddzielony jest całkowicie od bazaru armeńskiego.

Zwiedzać można to szczególniejsze targowisko po kilkanaście i kilkadziesiąt nawet razy i napewno nie obejrzało się jeszcze wszystkich jego zaułków. W Teheranie, tak jak w Tebrysie, nad ulicami bazaru rozciąga się dach, w którym umieszczono dość liczne otwory, pozwalające przenikać światłu. Sklepy są przeważnie tak małe, że wejść do nich trudno. W otwartych drzwiach, na podwyższeniu okrytem dywanem, siedzi majestatycznie kupiec, podwinąwszy pod siebie nogi, zapijając herbatę lub paląc kaljan. Przed nim i za nim rozłożone bogactwa jego sklepu; nieraz te ciasne izdebki mieszcza prawdziwe skarby. Kupiec, nieruchomy i poważny, nigdy ge-

stami ani słowem nie zachęca przechodnia do oglądania lub kupowania.

Są też w bazarze wielkie składy towarów europejskich; tym już brak wszelkiej odrębności, tembardziej, że sprzedają najordynarniejszą tandetę: porcelany i szkła we wszystkich kolorach tęczy, jaskrawe muśliny, kretony i materye, wstążki i kwiaty; pończochy i rękawiczki jedwabne, zielone lub fioletowe. Ulubione to kolory kobiet perskich: używają ich i nadużywają bezmiernie.

W bazarze właściwych wyrobów wschodnich wzrok mój najwięcej ciągnął dywany i jedwabie. Dywany od najskromniejszych wojłoków do najpyszniejszych kobierców jedwabnych idą całą gamą tonów, cieni i połysków, tu wyroby turkomańskie o deseniach regularnych, granatowych i białych na tle czerwonym, dywany to drogie, lecz niezniszczalne. Dywany z Dagestanu mają tła jasne, po których biegną delikatne arabeski; dywany Hamadanu najwięcej są do europejskich dobozem kolorów i deseniem zbliżone; precudne wreszcie kobierce z Heratu, jedwabne i półjedwabne mieniają się najpiękniejszym skojarzeniem barw i tonów. Na ich tle białozłocistym, srebrzysto-popielatym, niebiesko-stalowym, lub ciemno-różowym płaczą się, ze znakomitym zmysłem ornamentacyjnym pomyślane arabeski, kwiaty, rzucane delikatnie kiście palm, jak na szalach perskich. Wznoszą się też na nich, jak na obrazach prymitystów, naiwnie rysowane hieratyczne drzewa o czerwonych owocach. U stóp drzew stoją pa-

wie, rozpościerając zielono-szafirowe wachlarze swych ogonów. Po tych dywanach stępują tylko królowie i miliardrzy. Zwyczajni śmiertelnicy zawieszają je na ścianach, jak obrazy.

W bazarze materyj, przy mieniających się, brzydkich i sztywnych jedwabiach wyrobu miejscowego, lśnią aksamity i jedwabie z Kaszanu, na których tle czerwonym lub fioletowym rzucają się zygzakowate linie promieni żółtych i zielonych. Jedwabie z Brusy i fulary indyjskie o szafirowo-żółtych motywach, tak miękkie i wiotkie, że przez pierścionek przeciągnąć je można, sąsiadują z materyami ispańskimi, szytymi złotem, srebrem i jedwabiami o przyćmionych barwach. Z kosztownych tych tkanin robią cenne „hałaty” ¹⁾.

Dalej idzie szereg sklepów z wyrobami sukienkami z Resztu. Na tło jednego sukna nakładają — w desenie liści, kwiatów, zwierząt, ptaków i t. p.—kawałki innych sukien, zahaftowane kolorowymi jedwabiami. Brutalna jaskrawość barw i wulgarność rysunku cechuje nowoczesne wyroby tego miasta. Ale między dawnymi są prawdziwie artystyczne czapraki, serwety, zasłony. Gonią się na nich fantastyczne chochliki i zwierzęta, wykwitają wielopromienne słońca i dziwne drzewa rozpościerają szerokie konary.

¹⁾ Hałat—suknia wierzchnia, okładana zwykle sobolami, którą w dowód łaski szach ofiarowuje książętom krwi lub dygnitarzom.

Tam znów rozłożone są jedwabne haftowane serwety, przezroczyście zasłony, przesnute złotem, grube płótna bucharskie, wyszyte w śmiałe rzuty kwiatów, ptaków i arabesek.

Tam jeszcze sprzedają ispahańskie kalemkory, wyrabiane, jak twierdzą złośliwe języki, w Manchesterze. Rzecz to najzupełniej możebna, bo te nowoczesne kalemkory różnią się całkowicie od dawnych, nieskończenie delikatniejszych, jako wyrób i koloryt. Lecz nowoczesne—dajmy na to manchesterskie kalemkory—są, mimo niedbałego rysunku i ostrych kombinacyj kolorów—efektowne i ciekawe. Są to wielkie płótna drukowane, na których tle, najczęściej białem, a rzadziej czerwonym lub granatowym, ciągną się wielkie bukiety kwiatów i węzowate sploty fantastycznych liści, ujęte w szeroką ramę napisów z Koranu. Rysunki innych kalemkórów przypominają sceny ze Starego Testamentu, wieżę Babel, ofiarę Izaaka. Na innych jeszcze widać drzewo wiadomości złego i dobrego, Rustema ¹⁾, depczącego dyabła, Fet-Ali-Szacha z rozłożystą czarną brodą, sceny z życia obyczajowego: kobiety, w sukniach jak balony nadętych, palące kaliany i zajadające ssirini. Szeroki uśmiech zastygł na ich księżycowych twarzach. A wszędzie pawie i wogóle ptaki. Ptak—„muzy” króluje w ornamentyce perskiej nad innymi motywami. Odtwa-

¹⁾ Rustem—bohater podań, jak Herkules grecki

rzają go na kalemkorach, bucharach, dywanach, starych malowidłach i porcelanach, które wyrabiali tu na miejscu przed stu laty chińscy garncarze; robią go ze stali inkrustowanej złotem, ryją go dłutem w miedzi, mosiądzu, srebrze.

W bazarze wyrobów miedzianych oglądać można rzeczy przepiękne; panuje w nim tylko hałas nie do wytrzymania. Wyrabiają tu przedmioty codziennego użytku: misy, miseczki, okrągłe olbrzymie tace, na których podają na Wschodzie posiłek. Lecz są tu i wyroby dawne z Karbinu i Ispahanu: wazony, amfory, miski, tace staroświeckie, na których robotnik-artysta wyrzył dziwaczne chimery, sploty liści, zwierzęta, ludzi, epizody wojenne i sceny obyczajowe w obramowaniu oryginalnych napisów z Koranu.

W tejże części bazaru nęcą wzrok stare bronie, szable i kindżały, całe rynsztunki rycerskie, szyszaki i naramienniki, tarcze stalowe, inkrustowane złotem i srebrem w bogatej fantazyi desenie. Dalej skrzynie, skrzynki, skrzyneczki z *hatemu*—mozaiki z kości słoniowej, perłowej masy i delikatnych blaszek złota. Skrzynki ispahańskie z aksamitu, haftowanego blademi jedwabiami, złotem i srebrem; ciężkie skrzynki żelazne i stalowe, wysadzone złotem w wojownicze postacie królów, otoczonych przez kornie schylonych dworaków.

Kto wejdzie do bazaru z dobrze wypełnioną sakiewką, nie oprze się pokusie opuszczenia go z próżną kieszenią. Bo nie zwiedziliśmy jeszcze wszystkiego, co się w nim kryje. Oto srebrne wyroby

z Ispahanu i Szirazu, wypukłorzeźby, pokrywające tace, solniczki, *kalemłany* ¹⁾). Oto przesłiczne staroświeckie malowidła: kolory i złoto nakładane, jak u prymitystów, w niesłychanej subtelności ornamentacy; oto delikatne miniatury na kości słoniowej i inne pospolitsze na metalowej płycie. Oto słynne *reflets metalliques*, palone w ogniu gliny, mieniające się blaskami roztopionych metalów; sekret ich wyrobu zaginął dziś całkowicie i najmniejsze zażytki sprzedawane są na wagę złota. Ze współczesnych garncarskich wyrobów przypominają je najwięcej rzeczy wyszłe z pracowni „Golf-Juan’u”.

A bazar kalianów! Są w nim kaliany najprostsze, z grubego szkła, ordynarnej porcelany lub szyfrowego kamienia korassańskiego, i najdroższe, najwspanialsze, staroświeckie i artystyczne, zdobne w emaliowane medaliony i okolone festonami pereł, turkusów, szmaragdów.

W bazarze jubilerów kryją się miliony milionów. Olbrzymie turkusy, tak ciemne, jak błękitne niebo Wschodu, szafiry, perły z zatoki Perskiej, szmaragdy z Synaju, brylanty, ametysty, rubiny. Staroświeckie klejnoty, wielkie kolczyki, broszki, naszyjniki w ptaki, kwiaty i liście, sadzone różno-

¹⁾ Piórniki, często bardzo artystycznie malowane lub rzeźbione. Każdy Pers nosi ze sobą zawsze taki piórnik; jest w nim kałamarzyk, napełniony gęstym atramentem podobnym do tuszu.

barwnymi kamieniami, wyglądają barbarzyńsko i ciekawie.

Rozłożone w innej części tytonie, od jasno złotych do czarnych prawie, schodzą gamą żółto-brązową. Całe długie ulice zajmuje bazar produktów spożywczych i bazar owoców. Granaty wielkie, czerwone i słodkie, soczyste pomarańcze, cytryny kwaśne i cytryny słodkie, olbrzymie jak głowy ludzkie; bachanalia winogron zielonych, złotych, czarnych i rubinowych; jedne z nich maleńkie i jak miód słodkie, schną na gałązkach w rodzenki; inne znów, długie na pół palca, zielono-różowe, najładniejsze są, lecz nie najlepsze. Podłużne melony ispahańskie, białe jak śnieg i jak śnieg zimne, zwyczajne melony stref naszych, figi, daktyle, pistacje. Zdaniem mojem, najgorzej dojrzewają na gruncie Persyi gruszki, brzoskwinie i wiśnie; nie są ani słodkie, ani smaczne. Porzeczek i agrestu nie ma wcale; maliny hoduje kilku europejczyków, a truskawki pielęgnują *baghbani* ¹⁾ w ogrodach różnych dostojników i sprzedają je za dość słąną cenę, oczywiście bez wiedzy swych panów.

Jednym z najcharakterystyczniejszych obrazów bazaru jest widok ulicznych kuchni. *Aszpez* ²⁾ bazarowy rozdmuchuje leniwie wachlarzem ogień z drzewnych węgla, tłący się na małej, żelaznej fajerce, nad

¹⁾ Baghban — ogrodnik.

²⁾ Aszpez — kucharz.

którą warzy się na parze ryż w ilościach niezmiernych, lub pomidory, nadziewane tymże ryżem, albo mięsem. Nad innemi fajerkami skwierczą na rożenkach *kebaby* i gotują się potrawy z baraniny, zaprawione przepalającym podniebienie sosem. W glinianych miseczkach piętrzą się góry marynat (*turszi*), kwaszonych ogórków, melonów i najróżnorodniejszych jarzyn w occie. Prawowierny Pers nie uznaje bez nich jedzenia. Przy ulicznych tych kuchniach pełno też *kahwe—khaneh* (dom kawy), w których kipią potężnych rozmiarów samowary i warzy się aromatyczna kawa w miedzianych czarkach o długich rączkach. Persi, tak jak Turcy, nie cedzą kawy przez żadne filtry. Przetartą w żarnach na pyłek drobny, jak najdelikatniejsza mąka, gotują z odpowiednią ilością wody i cukru; przyprawiona w taki sposób, jest prawdziwym nektarem.

W godzinach południowych naokół kuchni gromadzą się tłumy. Jedni w szmaty chleba zawijają *kebaby*, inni, biedniejsi, sypki ser owczy. Ryż znika błyskawicznie szybko. Uliczni handlarze herbaty z blaszonym samowarem i skrzynką drewnianą, w której mieści się cukier i szklanki, krążą po wszystkich zaułkach bazaru. Bogatym kupcom przynosi służba na tacach liczne dania.

Jeżeli brak czasu i możliwości na odwiedzanie bazaru—bazar sam do domu przychodzi. Codziennie do każdego europejczyka stuka kilku *dellalów*,

przekupniów wędrownych, przeważnie Żydów. Dellal posiada zazwyczaj osiołka, którego objucza towarem; sam w przepaścistych, jak otchłanie kieszeniach, chowa mnóstwo najróżnorodniejszych drobniaków. Gdy go karauł odprawia, nudzi go i prosi dotąd, póki nie uzyska pozwolenia wejścia na podwórze. Dellale opłacają się zresztą służącym i pełniącym straż wojakom. Nie zraża dellala oświadczenie, że nic stanowczo odeń się nie kupi. On też bynajmniej nic sprzedać nie pragnie, chciałby tylko, by *hanum*, którą on tak kocha (liczy zawsze na słabość kobiet do zakupów), obejrzała, jakie to on ma dziś cuda.—*Tamasza bekunid, hanum* ¹⁾. I z komicznymi grymasami, mającemi wyrażać bezmiar zachwyty, jakim przejmują go jego piękne rzeczy — pozbędzie się ich jedynie przez miłość dla *frenki*—dellal rozkłada jedwabie, dywany, szale, kalemkory, skrzynki, tarcze, hełmy.—*Hanum, in Szak-Abbos!!!* Oczy mu w słup stają, gdy pokazuje mi jakiś pancerz pierwotnej bardzo roboty. A ta znów siekierka, nasadzana złotem należała do Fet-ali-Szaha. Kiwa głową, wymachuje rękoma, sam wprost uwierzyć nie może, że los uczynił go posiadaczem tak cennych zabytków, sfabrykowanych zresztą przed

¹⁾ Tamasza bekunid — robić oględziny, rozkładać, wyrażenie wciąż używane i zaadoptowane przez europejczyków.

paru miesiącami w bazarze przez umiejętnych naśladowców starzyzny.

Dellal miesza zabawnie w mowie do swej perszczyzny kilkanaście wyrazów francuskich, dodających — według niego — siły i dobitności określeniu. — *Hanum, in hejli* ¹⁾ *très joli! Hejli antique! In or, argent, brillant, télégraphe-or!!* Złoto telegraficzne (?) oznacza w jego pojęciu najszlachetniejszy gatunek metalu.

Rozłożywszy na tarasie domu wszystko, co zawierała nosza osiołka, dellal wydobywa ze swych wielkich jak worki kieszeni łyżki do sorbetów, delikatnie rzeźbione w drzewie oliwnem, srebrne pudełeczka emaliowane i inkrustowane, stanowiące rodzaj amuletów i jako takie przywiązywane do ramienia jedwabnymi sznurkami; wierni noszą w nich podobno przykazania Mahometa. Niektóre z nich prześlicznie są cyzelowane i przedstawiają skończenie artystyczne cacka. Z kieszeni dellala wyłaniają się nowe skarby: miniatury, pierścionki, kamienie, pozawijane w brudne papierki, monety srebrne z czasów Aleksandra Macedońskiego, główki starych kalianów, niebieskie od turkusów. Mimika kupca, rozpływającego się w podziwie nad własnem bogactwem, dochodzi do najwyższego napięcia; w głosie brzmi ekstaza.

¹⁾ In — to, hejli — bardzo.

Zasadą dellala jest rozumie się bezwzględne obdzieranie *frenki*. Lecz nie obraża się bynajmniej, gdy mu zaproponować dziesiątą część żądanej przez niego ceny. Najczęściej po paru *hanum*, bolesnym wyrzutem nabrzmiałych, po kilku pełnych godności zapewnieniach, że jego samego drożej to kosztuje, wyciąga rękę po zapłatę.—*Male szuma, hanum*, mniejsza o to, że ja biedny, stracę na tym interesie!

Z pomiędzy niezliczonej ilości ulicznych typów, dellal jest bezwątpienia najwięcej zajmującym. Szczerze się przyznaję, że lubię jego długie przemowy, przesadne zachwalania i wyrazistą gestykulację. Może obdziera nas trochę, i bardzo, lecz o to nie mam do niego najmniejszej urazy.

W kategorii typów ulicy zaznaczyć jeszcze muszę *tabakieszów*, dźwigających na głowie, nakrytej płaską mycką, olbrzymie tace, lub wprost drewniane kręgi, na których ustawiają stosy talerzy, baterie kieliszków, szklanek, karafek, kryształowych świeczników, lamp, filiżanek. Z niesłychaną zręcznością przesuwiają się przez tłum ze swym ładunkiem i nieocenione oddają usługi przy przeprowadzkach. Nigdy, przenigdy nie stłucze *tabakiesz* najmniejszego drobiazgu. Wzdłuż ulic krążą też roznosiciele wody z wielkimi skórzanymi bukłakami, ociekającymi płynem.

W miejscach, gdzie się ruch koncentruje, siedzą balwierze z całym swym przyborem; żołnierze, zajmujący się zmianą pieniędzy, rozkładają na wywróconych dnem skrzynekach monetę srebrną i mie-

dzianą; handlarze lodów pchają wózki ze swym przysmakiem, cuchnącym łożem bardzo, mimo to przez lud cenionym. Służący rujnują się na ten specyał, nawet karauły ulegają pokusie i wydobywają z brudnych szmatów skrzątnie chowane *szai* ¹⁾).

Fizyognomia miasta zmienia się w jednej prawie chwili z nadejściem wieczoru. Za ledwie słońce skryje się za górami, rozlega się z minaretów *Allah-hou* miesinów, wzywających wiernych do modlitwy. Wnet ustaje praca dzienna, opróżniają się ulice i sklepy bazaru, kupcy spieszą do domów; wraz z nocą schodzi cisza. Słysząc tylko częste naszczekiwanie psów trędowatych, wyleniałych i poranionych, których gromady wylegają tu pod murami, jak w Konstantynopolu. Chwilami rozbrzmiewa przeciągłe i żałosne *Allah-Ali* derwiszów. Miasto usypia, czuwają już tylko europejczycy.

¹⁾ Szai — dwudziesta część krano. Kran — obecnie pół franka.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.



Spis rzeczy.

	<i>Str.</i>
Przedmowa	5
I. Z Paryża do Konstantynopola.—Przeprawa przez Czarne morze.—Trebizonda	9
II. Od Trebizondy do Erzerumu	29
III. Erzerum.—Kurdowie i Armeńczycy.—Droga do Bajazydu —Ararat.—Karakilis.	45
IV. Bajazyd. — Pobyt u Dżiber-Beya. — Awadżyk i przyjęcie u Paszy -Khana. — Droga do Khoj.	67
V. Khoj.—Abbas-Ali-Khan. — Wizyta w Enderumie Kedżawe.—Droga do Tebrysu	82
VI. Tebrys.—Podróż Wallieta do Teheranu.— Kilka słów o Musaffer-ed-dinie. — Droga od Tebrysu do Teheranu.— Mianeh. — Zendżan — Kasbin — Ruiny zamku Nabatenczyków.—Droga od Kasbinu do Teheranu	95
VII. Teheran. — Zewnętrzna fizyonomia miasta. — Plac broni, główne ulice. — Dzielnica europejska.— Dobrodziejstwa cywilizacyi — Typy uliczne. — Derwisze. — Spacer szacha. — Karetą Fet-ali-szacha.— Charakter zewnętrzny dzielnicy perskiej.— Bazar.— Dellale.	117



44145



1-2

44146